

LUIS SEPULVEDA
LAMPA
ALADYNA
I INNE OPOWIADANIA
NA PRZEKÓR NIEPAMIĘCI

Przełożyła

Joanna Skórnicka

Tytuł oryginału

La lamparci de Aladino y otros cuentos para vencer el olvido

Copyright © Luis Sepulveda, 2008

by arrangement with Literarische Agentur Mertin Inh.

Nicole Witt e. K., Frankfurt am Main, Germany

For the Polish edition

Copyright © 2011, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-7392-353-9

Uparty płomyk szczęścia

Panu Aladynowi Sepulvedzie,

pierwszemu squatterowi Patagonii

Ów weteran miał wiele dzieci: synów i córki, a także synowe, zięciów błędzących po pampie niczym stepowy wiatr oraz bliżej niesprecyzowaną gromadę wnuków rozproszonych po niezmiernych przestrzeniach Patagonii. W wieku osiemdziesięciu kilku lat nadal był żywicielem swego małego plemina, które tuliło się do niego, gdy od lodowatych wiatrów długiej podbiegunowej zimy kiszki marsza grały, a w potrawce coraz trudniej było znaleźć kawałek mięsa.

Oprócz brzemienia lat i rodziny miał również psa Cachupina - kiltro, jak go zwali w narzeczu Mapuczów - którego jedyne cnotami były lenistwo i umiejętność spania z jednym okiem otwartym, baczny na każdy gest pana. Kiedy jednak nadchodził czas krów chudych, weteran, z pozbawioną smaku mate, która nie chciała odkleić się od jego dłoni, wydawał rozkaz: „Cachupin, nadeszła godzina, wyprowadź całe to gówniane towarzystwo, bez cackania się”. Wówczas pies się ożywił, przeciągał, wyginał grzbiet, wachlował się uszami, podkulał długi, chudy ogon i wpadał do chaty z nieziemskim szczekaniem i warzeniem.

Budził po kolei wszystkich synów i zięciów, śpiących po kiepskim winie, ciągnął ich za nogawki, rozdzierał spodnie, niekiedy przerywał nawet którejs z par usiłujących dać staremu więcej wnuków. Po chwili opuszczali chatę, rzucając gęsto kurwami, a ich kaprawe oczy napełniała szara poświata stepu.

- Cholerny pies - odważył się niekiedy wymamrotać któ-

ryś z członków rodziny.

- Zamknij się, wszawa mordo! Cachupin wie, co robi. - Na te słowa starego wszyscy milkli

Potem weteran czekał, aż członkowie rodziny oddalą się ku drodze prowadzącej do Cholili, a kiedy ich sylwetki rysowały się niewyraźnie na płaskim horyzoncie, wchodził do chaty zbudowanej z grubych bali, które przyciągnięto z andyjskich lasów wyznaczających granicę między Argentyną a Chile, siadał przy stole z drewna równie starego jak to, z którego wzniesiono sam dom, zwijał papierosa i oczekiwał nadejścia cieni.

Palił i uśmiechał się, patrząc na psa, który biegał wokół chaty, warcząc i obrzucając nieufnym spojrzeniem ibisy, owce próbujące znaleźć źdźbła trawy pośród pakuł i wszystko, co się poruszało na stepie.

Weteran zapalił lampę naftową, poczekał, aż płomyk zmieni barwę z żółtej na błękitną, zamknął drzwi, po czym zrobił to samo, co zawsze czynił od trzydziestu lat, gdy nastawał czas krów chudych. Sięgnął za siebie, wy dobył nóż zza pasa, odkroił kilka cieniutkich plastrów charqui, włożył do ust spory kawałek suchego i twardego mięsa, przeżuwał je, aż zmieniło się w miękką, wilgotną kulę, wypluł ją na dłoń i zawołał psa.

- Łyknij to, Cachupin, bo to twoje ostatnie jedzenie aż do powrotu.

Pies złapał kulę, próbował ją rozgryźć, lecz powstrzymał go rozkaz starego.

- Całe, Cachupin! Połknij całe!

Pies posłuchał i przełknął, podobnie jak resztki charqui, które pan mu rzucał.

Krewni, ci bliscy i ci dalsi, ujrzeni z daleka błękitny płomyk lampy u wejścia do chaty; poczekali - z szacunku dla psa bardziej niż dla starego - aż się oddali i stanie słabym pełgającym światelkiem, ginącym w bezkresnej nocy. Wtedy dopiero ruszyli ku owej budowli z bali, którą w 1901 roku wznieśli Butch Cassidy, Etta Place i Sundance Kid, aby im służyła jako schronienie podczas włóczędzy po Patagonii.

- Jak tam, Cachupin? - odezwał się weteran.

Pies machnął ogonem i zawarczał cicho. Był to sygnał, że nikt za nimi nie idzie i że mogą zgasić lampę.

- Chodźmy dalej, przyjacielu, pogadamy. Lubię z tobą rozmawiać, jesteś psem i nie zadajesz pytań - rzekł weteran i opowiedział mu, że w gruncie rzeczy powinien go nazywać Cachupin VI, „tak, z rzymskimi cyframi”, dodał, przedtem miał bowiem pięć psów o tym samym imieniu, wcale nie z braku

wyobraźni ani dlatego, że uważał, iż imiona występujące w katalogu produktów dla zwierząt są paskudne, tylko przez wierność dobrym wspomnieniom. Istotnie, myliły mu się przywary i sztuczki poprzednich psów, ale głaszcząc obecnego po głowie, powiedział sobie, że to jest najlepsze w starości - owa mieszanina dobrych wspomnień skupionych w jednym imieniu: Cachupin.

Obute w espadryle stopy starego poruszały się wolnym, lecz pewnym krokiem, łapy psa zaś znały każdy załomek terenu. Do drogi wysypanej tłuczniem mieli dotrzeć w parę godzin; tam, jak zwykle, usiądą w oczekiwaniu na ciężarówkę, która zabrałyby ich do Esquel.

- Tak się sprawy miały - ciągnął weteran. Opowiadał psu o ciężkich czasach, kiedy to produkcję wełny diabli wzięli, gdyż Anglicy opuścili Patagonię i otworzyli nowe estancje hodowlane w Australii. On sam był Chilijczykiem, przynajmniej tak opiewał jedyny dokument, jaki posiadał, jednak kiedy i z kim przedostał się do Argentyny, gubiło się w mgławicy czasu. Owszem, pamiętał gorycz zwolnień z pracy, monety skąpo wydzielane przez zarządców tym najwierniejszym spośród pracowników i długą drogę, już z mnóstwem dzieciaków na grzbiecie, z Las Heras do Cholili, w poszukiwaniu miejsca dla siebie: dachu nad głową, pracy i choćby zuchelka mięsa na ruszt.

Nie pamiętał też dokładnie, kiedy ani z kim się zadawał w Cholili, to jednak nie przeszkadzało Cachupinowi, który wysłuchał opowieści o chacie opuszczonej przez gringos, tych zbójów.

- Mówili, że straszno, musiały tam być duchy - opowiadał stary psu. Potem zaczął wspominać, jak pewnego dnia podszedł bliżej do tej budowli, która wydała mu się wspaniałą chatą - solidną, zbudowaną z grubych bali doskonale uszczelnionych, by wiatr nie hulał po izbach, a ponadto mogącą się poszczycić wyjątkowym luksusem: podłogą z desek układanych na pióro-wpust tak kunsztownie, że nawet pchła się nie wciśnie; chodzenie po czymś takim przynosiło ulgę zmęczonym stopom.

W Patagonii nikt nie pyta, skąd przybył wędrowiec ani dokąd zmierza - ważne jest, że się pojawił. Nikt go zatem nie zagadywał, czy ktoś mu pozwolił zamieszkać w chacie bandytów, no i zaczęły się rodzić coraz to nowe dzieci, raczkujące radośnie po gładkiej podłodze.

- Zdaje mi się, że zrobiłem sześciu facecików i dwie dziewczuszki, ale i tak wszyscy są moi, bo mój jest dach, który mają nad głowami, i to jest jedyne prawo, które obowiązuje -

ciągnął stary.

Wysypana tłuczniem droga dzieliła step na pół. Nie było łatwo ani przyjemnie chodzić po ruchomych odłamkach, usiedli więc przytuleni do siebie, oczekując świtu, jak też samochodu, którym mogliby odjechać.

- Siedź tu koło mnie, a jak przestanę mówić, poliziesz mnie, bo nie mogę zasnąć. Opowiadałem ci, że kiedy tamto znalazłem, żył jeszcze Cachupin I? Był podobny do ciebie, tylko bardziej nieokrzesany - powiedział weteran, a pies ziewnięciem przyjął to do wiadomości.

Wspomnienia starego poszybowały czterdzieści lat wstecz.

Oto ujrzał się młodszym, z bystrzejszym wzrokiem, jak zręcznie przygotowuje zaprawę do uszczelnienia spojeń, przez które między balami wciskał się wiatr. Wówczas chata miała tylko dwa okna i przez nie wpadało słońce, oświetlając dokładnie to miejsce, gdzie zamierzał pracować. Zaczął odrywać smużki uszczelniacza i niebawem jego palce trafiły na zagłębienie o gładkich brzegach, które w żadnym wypadku nie mogło być dziełem termitów. Równe, jednolite, ukryte pod wieloma warstwami uszczelniacza i błota, stanowiło owoc świadomego wysiłku. W szczelinie zaledwie się zmieściła jego wyciągnięta dłoń, lecz kiedy zgął palce, kierując je ku ziemi, dotknął czegoś zimnego, metalicznego, okrągłego, a w dodatku ruchomego.

- Pomyślałem, że to guziki od munduru, guziki wojskowego. Jakimże matolem wtedy byłem! Przeszło mi chociaż to matoleństwo, co, Cachupin?

Pies zastrzygł uszami i położył pysk na stopach pana.

Weteran muskał dłonią krągłe krawędzie. Poruszył ręką, by zagłębić ją w otworze aż do dna, i ułożywszy palce wskazujący i serdeczny na kształt szczypiec, wydobył jeden z kawałków metalu.

Moneta zachowała oślepiający blask. Na awersie można było przeczytać: „Bank Londynu i Tarapaca”, a na rewersie - „złote peso”.

W 1905 roku Butch Cassidy, Sundance Kid i jeszcze jeden osobnik z Dzikiej Bandy napadli w Punta Arenas na filię najbardziej elitarnego banku w Chile i zabrali łup, którego wartości nigdy nie udało się dokładnie oszacować.

- Jakimże byłem matolem! To cecha młodości, jak sędzę. Zdawałem sobie sprawę, że ktoś tam ukrył skarb, ale nie mogłem się oprzeć i poleciałem do sklepu w Cholili, by sprzedać tę monetę. Skończyło się to fatalnie, nie wyobrażasz sobie nawet jak.

No i patrzcie, jak fatalnie! Kiedy tylko sklepikarz zobaczył

na ladzie monetę, zamiast odpowiedzieć na pytanie: „Ile mi pan za to da?“, wezwał żandarmów, ci zaś, częstując naiwniaka szturchańcami, zawlekli go do koszar. Tam otrzymał pierwsze w życiu lanie i spędził wiele dni, wisząc głową w dół jak świeżo sprawiony baran, podczas gdy żandarmi plądrowali chatę, podważali deski podłogi, opukiwali ściany z bali, próżno nasłuchując brzęku bogactwa. Wydali radosny okrzyk, natknąwszy się na żelazny kufer, skoro go jednak otworzyli, setki od dawna pozbawionych wartości banknotów i zaledwie garstka srebrnych monet sprawiły, że śmiech ustąpił miejsca gorzkim przekleństwom.

- Niewiele brakowało, a odwaliłbym kite, Cachupin. Nie pisałem im ani słówka o drugiej skrytce i zrozumiałem, że bogactwo to najgorsze, co może spotkać ubogich. Niedługo przed świtem pojawiła się ciężarówka z tartaku. Zatrzymała się na machanie starego, który pozdrowił kierowcę:

- Jedziemy do Esquel, ziomku.

- Jak to Jedziemy"? Nie widzę nikogo więcej - odrzekł kierowca.

- Piesek ze mną jedzie, jeśli panu nie przeszkadza.

- Jeśli nie będzie sikał, srał albo gadał o polityce - uściślił szofer.

Kabina ciężarówki była wytapetowana zdjęciami kobiet i dzieci. Weteran, z psem, który ułożył mu się na stopach, uważnie słuchał kierowcy.

- Tak jak marynarze mają w każdym porcie kochankę, my, kierowcy, mamy dom na każdym skrzyżowaniu. Widzi pan tę czarnuszkę? Dwóch synów mam z nią w El Maiten, a tej drugiej, blondynce, zmajstrowałem syna w Bariloche i o mały włos byłbym się z nią ożenił. Za to ta maleńka, tam z boku, to jest dopiero kopalnia, dziadku! Trzech chłopaczków mi dała w Comodoro Rivadavia i czeka na mnie zawsze z mate i smażonymi tortas. Pan ma dzieci, dziadku?

- Więcej niż palców u rąk i nóg, ziomku, a umiem liczyć do dwudziestu.

Kierowca zaśmiał się donośnie i gwoli docenienia dowcipu weterana nacisnął kilka razy klakson. Nie przestając się śmiać, zapytał starego, po co wybrał się do Esquel.

- Jedziemy do lekarza. Dzięki, że nas pan zabrał.

- Coś panu dolega, dziadku? Brzuch, prostata, płuca?

- Nic mi nie jest, ale psa coś boli - odpowiedział stary, a Cachupin wywrócił oczami.

Dotarli do Esquel, gdy słońce wzniosło się nad Atlantykiem. Pozostawieni przez kierowcę u bram miasteczka, ruszyli w stronę centrum.

- Wytrzymaj jeszcze trochę, Cachupin. Wiem, że chce ci się jeść i pić, i srać, ale wytrzymaj jeszcze chwilę, che, już blisko.

Szli dalej. Pies przytulony do nóg pana słuchał tej samej historii, którą stary mu opowiadał za każdym razem, gdy wyruszali w drogę.

W latach, co nadeszły po znalezieniu skarbu, wystarczyło, że weteran wydobył z otworu kilka monet, a już pakował się w jakieś kłopoty - zawsze się to źle kończyło. Raz jechał do Bariloche, by sprzedać dwie monety, i banda hultajów, uprzędzonych przez potencjalnego kupca, antykwariusza, spuściła mu straszne manto; wreszcie udało mu się ich przekonać, że ukradł monety jubilerowi z Epuyen. Kiedy indziej żandarmi z Rio Mayo podłączyli go do prądu i nekali elektrowstrząsami, dopóki nie rozładowały się baterie. Chcieli, by im wyjawiał, gdzie znalazł monety. Wypuścili go dopiero, gdy im nakreślił mapę, kompletnie zmyśloną - powiedział sobie, że bogactwo zobowiązuje do sprytu.

- Człowiek się uczy, jak go leją, Cachupin. Przez następne dziesięć lat nawet nie tknąłem tych monet. Plotka się rozniosła i za każdym razem, gdy się oddalałem choćby na krok z Cholili, czekali na mnie złoczyńcy albo - gorzej jeszcze - żołnierze, żeby mi dołożyć. Gdybyś tylko zobaczył tych bliźnich, którzy oglądali mnie bez gaci! Ale, tak jak ci mówię, postanowiłem być mądrzejszy i Cachupina II nauczyłem tych samych sztuczek co ciebie.

Drugi pies nie był obdarzony szczególną inteligencją. Ponad pół życia zajęło mu zrozumienie, że jeśli wypróżnia się tylko na rozkaz pana, czeka go soczysta nagroda o smaku befsztyka. Cachupin III nauczył się tego znacznie szybciej i stary skrzyżował go z dobrą suką. Został po nim najlepszy szczeniak, Cachupin IV, który w rok opanował zasady gry. Co się zaś tyczy V i VI, to dzięki swym genom, rodząc się, już wiedziały, czego się od nich oczekuje.

- To z lampą zdarzyło mi się później. Znasz tę historię.

Cachupin III był jeszcze szczeniakiem, kiedy obaj udali się do El Bolsón, by sprzedać lisie skóry. Na rynku ujrzeli tłum; ludzie cisnęli się wokół lalkarzy wystawiających sztukę rodem z dalekiej Arabii. Weteran z otwartymi ustami oglądał kukielki opowiadające historię wieśniaka, który pocierając po prostu lampę, sprawiał, że wyfruwał z niej duch, i tym sposobem wydobył się z nędzy.

„Wczoraj miałem sen - powiedział krewnym. - Śniło mi się, że zapaliłem lampę i duchy gringos, tych zbójów, zaczęły ze mną rozmawiać. Radziły mi, dokąd mam pójść, żeby zdobyć

parę groszy. Naturalnie duchy chcą rozmawiać tylko ze mną i z psem, z nikim więcej".

- Żebyś widział, jakie mieli miny...!

Patrzyli na niego jak na obłąkanego, a w dodatku niebezpiecznego, bo wszyscy uwierzyli, że chatę zamieszkują duchy. Oddalili się więc w milczeniu i z bezpiecznej odległości obserwowali wąty płomyk lampy. Stary skorzystał z chwili samotności i wydobyl monetę, potem, posługując się grafitem ołówka, odbił awers i rewers na bibułkach do papierosów. Tego samego wieczoru wyruszył w towarzystwie Cachupina III do Esquel, największego miasta w okolicy.

Był to czas strachu. Wojskowi chodzili uzbrojeni po zęby, ludzie wzrok mieli wbity w ziemię, zabroniono rozmów w grupach większych niż dwie osoby. Weteran i pies przemierzyli całe miasto, szukając kogoś albo czegoś, tylko że nie mieli pojęcia kogo ani jak to dalej będzie. Wreszcie dotarli na rynek i obaj zaczęli uważnie obserwować dziewczynę, która siedząc przy składanym stoliku, oczekiwała klientów, aby im zaoferować usługi maszynistki. Zielona maszyna do pisania pokrywała się z wolna patagońskim pyłem.

- Jak się pani miewa, rodaczko - pozdrowił dziewczynę weteran.

- Dobrze, proszę pana. Chce pan, żebym napisała list?

- Pani nie jest stąd, nie myślę się? - spytał stary.

- A co to pana obchodzi? - spytała z kolei dziewczyna.

Stary dostrzegł ból w jej oczach i głosie, ból klęski, ostatecznej utraty.

- Od tej chwili jesteś stąd - zapewnił.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Czego pan chce ode mnie?

- Twej inteligencji, bo widać, żeś niegłupia. Twej wiedzy, bo jesteś wykształcona. I twej odwagi, bo wyglądasz na dzielną. Usiedli w cieniu, by porozmawiać, czujni, zarazem jednak nieustraszeni. Weteran wręczył dziewczynie arkusze bibułki do papierosów i poprosił, żeby rozejrzała się po świecie za kimś, komu można by sprzedać te kilka monet. On wróci razem z psem za dwa miesiące.

- Zaufałem ci i teraz jesteśmy współnikami. Wcale nie chcę znać twego imienia ani adresu. Jedyne, o co proszę, to nieco cukru i mate, żebym nie wracał do domu z pustymi rękami.

Kiedy krewni starego, ci bliscy, a także ci dalsi, ujrzeli go idącego z półkilogramową torebką cukru i paczką mate Rosamonte, przekonali się, że istotnie musiał rozmawiać z duchami gringos, tych zbójów.

Po dwóch miesiącach weteran i Cachupin III, zapalili lampę i porozmawiawszy z duchami, znów zawitali do Esquel. Dziewczyna siedziała pochylona nad swą zieloną maszyną do pisania. Poczekali, aż skończy pisać list, który dyktował jej pewien gaucho - adresowany był do jego mieszkającej daleko matki i sądząc po łzach, jakie wylał mężczyzna, musiał pomieścić całe morze uczucia - i ponownie usiedli pod drzewami.

- Mów, współniczko - zachęcił dziewczynę weteran.
- Znalazł się kupiec. To dużo pieniędzy. Nie do wiary, te monety są wiele warte - odrzekła dziewczyna.
- Połowa jest twoja, w końcu jesteśmy współnikami.
- Jeszcze panu nie powiedziałam, ile za nie dają.
- Nie szkodzi. Nie chcę pieniędzy, zaraz mi je ukradną albo nie będę umiał wyjaśnić, skąd je mam. Moją część chcę odebrać w herbacie, cukrze, mate, soli, fasolce i aspirynie. Potrzebuję też masy cukierków dla wnuków. Zostawiam ci adres mojej najstarszej córki, wyślij jej to wszystko pocztą do Cholili. W korespondencji napisz, że to podarek od duchów.

- Ale... Przecież chyba mi pan nie powie, że ma te monety przy sobie?

- Ja ich nie mam - odpowiedział weteran i rozkazał psu, by się zbliżył. - Teraz, Cachupin. Teraz, zrób kupkę.

Pies uniósł ogon, ugiął tylne łapy, nateżył się i wydalil kilka twardych bobków, w których połyskiwały złote brzegi dwóch monet.

Weteran i Cachupin VI dotarli do domu otoczonego krzewami róż. Gdy nacisnęli dzwonek, z domu wybiegła dziewczyna o długich czarnych włosach i rzuciła się staremu na szyję, głośnym wołaniem obwieszczając jego przybycie. Kobieta, która wyszła z domu, by go powitać, nadal była piękna, miała włosy przyprószone siwizną i kilka zmarszczek, pełnych życia, gdy się uśmiechała. Nie było już bólu w jej spojrzeniu i głosie.

- Proszę wejść. Napijemy się mate.

- Nigdy nie odmawiam, gdy kocha mnie czajniczek. Ale pozwól, że potem ci podleję róże.

Porozmawiali, powspominali mnóstwo pięknych rzeczy godnych pamięci i zapomnieli o innych, takie bowiem jest życie. Potem Cachupin VI wykonał zadanie, jakie do niego należało w całym interesie, i wyruszyli w drogę powrotną do Cholili, do chaty, którą zbudowali gringos, ci zbóje, na odludziu w Patagonii.

Weteran i pies maszerowali zadowoleni, takie bowiem jest

życie. Czas krów chudych na pewno powróci, takie bowiem jest życie. I znów w chacie z bali przywiezionych z dalekiej kordyliery zapłonie wątry płomyk lampy szczęścia, takie bowiem jest życie.

Kawiarnia Miramar

Pamięci Nadżiba Mahfuza

O zmierzchu uspokoił się wiatr niosący piasek znad pustyni, a stare Morze Śródziemne dołączyło swój słony zapach do subtelnego aromatu magnolii. Była to chwila najbardziej sprzyjająca temu, by wyjść wreszcie ze skromnego, choć pełnego godności domu - muzeum Kawafisa - i przed powrotem do hotelu udać się na spacer po zaułkach Aleksandrii.

Powietrze wprost upajało, poczułem pragnienie i przypomniałem sobie, że w minibarku w moim pokoju hotelowym czeka na mnie butelka cavy, którą kupiłem na lotnisku w Madrycie. Pomyślałem, że to doskonały powód, by przyśpieszyć kroku, i tak przedelfilowałem przed licznymi barami, których tarasy zapraszały przechodnia. Nie miałem jednak ochoty na słodką kawę, jaką raczą się Egipcjanie, ani na paskudne piwo bezalkoholowe, tak samo pozbawione smaku jak reguły religijne, które zadecydowały o jego spożywaniu.

Zaraz po powrocie do hotelu sprawdziłem, czy butelka jest na miejscu. Była, zimna i ułożona poziomo. Jak się wydaje, obsługa hotelu musiała ją zauważyć i czyjeś bezimienne i uprzejme dłonie postawiły na konsoli dwa kieliszki do szampana.

„Kimkolwiek byłeś, błogosławię cię” - wyszeptałem, otwierając drzwi wychodzące na balkon. Kupiłem szampana dla uczczenia mej wizyty w Bibliotece Aleksandryjskiej, ultranowoczesnej budowli projektu norweskiego architekta. Ostatecznie jednak wyszedłem rozczarowany, architekt odmówił bowiem budynkowi dostępu do morza. Stałem zatem na balkonie, gotów wznieść toast za poetę Konstandinosa Kawafisa.

Byłem w Twym domu, stary przyjacielu. Smutny, zaspany mężczyzna poprosił o kilka egipskich funtów, następnie wręczył mi klucz do drzwi wejściowych i poinformował, że wychodząc, mam go zostawić pod pluszową wycieraczką. „Nikt nie kradnie w domu poety” - wymamrotał, tak mi się zdaje, widząc me zdumienie. Potem odszedł, wlokąc za sobą zmęczenie starych kości, które być może skarżą się w aleksandrynach. Zająłem Twe krzesło i otworzyłem na Twym biurku kilka książek napisanych w języku Homera i Kazantzakisa, to znaczy zachowałem się niczym jeden z barbarzyńców. Na koniec zająłem Twe

łoże, zamknąłem oczy i opłakiwałem swój los nierozważnego barbarzyńcy. Cześć zatem, stary przyjacielu.

Zmierzch zabarwił morze melancholijną barwą srebra, a ja właśnie zamierzałem unieść po raz drugi kieliszek, kiedy z sąsiedniego balkonu dobiegł głos kobiety, która choć śpiewała piosenkę Kurta Weilla całkiem cicho, nie była w stanie ukryć swego berlińskiego akcentu.

- Surabaya Johnny, warum bist du so roh?

Oddzielał nas niewysoki murek, na którym stały donice, i wystarczyło przejść dwa kroki, by ją ujrzeć: siedziała w bujanym fotelu, ubrana w białą suknię z lnu, który zawsze uważałem za najszlachetniejszy materiał, jaki może nosić kobieta. Odpoczywała, złożywszy boscie stopy na taborecie.

- Ten Johnny musiał być potworem, du bist kein Mensch, Johnny - skłoniłem się, wskazując butelkę i dwa kieliszki.

- Und ich Hebe dich so - zanuciła, wskazując taboret.

- Berlinianka? - spytałem, podając jej kieliszek.

Zanim odpowiedziała, stuknęła swym kieliszkiem o mój, pociągnęła łyk, odstawiła kieliszek na stolik, uniosła ręce ku sięgającym ramion gęstym jasnym włosom i odrzuciła je do tyłu ruchem płynnym niczym strumień złocistej wody. Była Greczynką, spędziła jednak wiele lat w Berlinie; jest - zapewniała z odrobiną nostalgii - jedną z ostatnich Greczynek w Aleksandrii.

Są kobiety, których towarzystwo zaprasza do milczenia, potrafią bowiem dzielić je z rozmówcą; wszak nie ma nic trudniejszego ani równie szlachetnego. Popijaliśmy wolno szampana i patrzyliśmy na wodę. Bardzo blisko nas, gdzieś pod powierzchnią morza, spoczywała statua Kolosa, również pogrążona w milczeniu, a rozproszone po całym brzegu milczące księgi z wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej stały się być może wspaniałym nawozem, na którym wyrosły zdobiące nabrzeże palmy. I oto słońce zapadło gdzieś na zachodzie i cienie rozciągnęły swój woal nad Morzem Śródziemnym. Zaprosiłem swoją towarzyszkę na kolację, dodając, że z pewnością zna jakąś restaurację, gdzie moglibyśmy się napić dobrego wina.

- Dziś to niemożliwe. Ale jutro czekam na pana o siódmej w kawiarni Miramar - powiedziała, wstając i obejmując skrzyżowanymi dłońmi nagie ramiona w geście ochrony przed chłodem.

Nazajutrz zrobiłem, co miałem do zrobienia: następna wizyta w bibliotece, konferencja w Instytucie Cervantesa, przesłodzona kawa w towarzystwie kilkorga egipskich studentów; po południu, koło szóstej, zapytałem w recepcji o kawiarnię Miramar.

- Jest pan pewien? Nie ma żadnej kawiarni Miramar. Była, owszem, za czasów Greków, ale zamknięto ją wiele lat temu - wygłosił sentencjonalnie recepcjonista.

Domyśliłem się, że jeśli kawiarnia nazywała się Miramar, musiała znajdować się na nabrzeżnym bulwarze, i ruszyłem w drogę, rozpytując o nią w rozmaitych barach pełnych dziwnych postaci grających w tryktraka i palących fajki wodne; z ich ust wydobywały się gęste kłęby aromatycznego dymu. Nikt nie wiedział, gdzie może być ta kawiarnia.

O północy wróciłem do hotelu. Na miejscu recepcjonisty zastałem starego nocnego portiera. Zapytałem go, czy pani z sąsiedniego pokoju już wróciła do siebie. Staruszek spojrział na mnie ze zdumieniem i kulawą angielszczyzną powiedział, że to niemożliwe, by ktoś w nim mieszkał, bo tego pokoju nie wynajmują. Przechowywane są w nim meble dawnej właścicielki domu, Niemki, która...

- Greczynki - przerwałem - jednej z ostatnich w Aleksandrii.

- Ma pan rację. Greczynki - zgodził się i chciał mi opowiedzieć historię, lecz przerwałem mu gestem.

Żyję ze swoimi duchami, akceptuję je i przywołuję. Być może to wiersze Kawafisa sprawiły, że piłem szampana z jednym z niezapomnianych duchów przybyłych z tamtego żywota. Może to pustynia podarowała mi ową przepiękną fatamorganę na brzegu morza - przestrzeni ratunku lub opuszczenia.

Hotel Z

Mojemu bratu Julio Garcii, „Siódemce”,
zamordowanemu przez policję z Quito

Coś w rodzaju nigdy nieujawnionej zmowy podróżnych, którzy odwiedzali ów budynek, nie pozwala mi podać jego adresu; warto jednak wspomnieć, że Hotel Z znajdował się - a któż wie, czy nie znajduje się tam nadal - w Tres Fronteras, tam gdzie - choć nikogo to specjalnie nie interesuje - stykają się iluzoryczne granice Peru, Kolumbii i Brazylii.

Hotel Z jest - używam tu czasu teraźniejszego, marzę bowiem o tym, by do niego powrócić - obleżony przez najwierniejszego i najbardziej uporczywego z gości: dżunglę, która z wolna obejmuje we władanie jego pokoje.

„Siódemka” i ja spędziliśmy razem w tym hotelu długie i monotonne deszczowe dni. On był chilijskim dziennikarzem, utalentowanym rysownikiem, a ponadto fotografem.

Na Stadionie Narodowym w Santiago pewien wojskowy próbował zmiażdżyć mu prawą dłoń. Ten kawał bydlaka, Jaime Moren Brito, tak jak wszyscy wojskowi szczególną nienawiść żywił do dłoni ludzi obdarzonych talentem. Z tego samego po-

wodu inny degenerat z pagonami porucznika, Edwin Dimter Bianchi, zanim zamordował Victora Jare, zmiążdżył jego dłoń, a potem rzucił mu gitarę i kazał grać. Również wspaniałemu pianiście argentyńskiemu, Miguelowi Angelowi Estrelli, Próbowali amputować ręce w urugwajskim więzieniu - na szczęście kochany „Chango” gra nadal.

>„Siódemkę” przytrzymała cała grupa wojskowych; położyli jego dłoń na ławce i wymierzili cios. Jednak dokładnie w chwili, gdy kolba karabinu Garand spadała na rękę, udało mu się nieco ją przesunąć. Stracił wprawdzie trzy palce, ale uratował kciuk i mały palec. Gdy pozostało mu tylko siedem palców, pasja, jaką było dlań rysowanie, przekształciła się w coś więcej niż konieczność: stała się wyzwaniem. My, Chilijczycy, jesteśmy twardzi, zawzięci i pełni dumy, a „Siódemka” nie był wyjątkiem; nauczył się trzymać ołówek między kciukiem a małym palcem prawej ręki i - pominąwszy dzieła sztuki - przez całe lata wspaniale fałszował paszporty i wizy, których potrzebowaliśmy, by przetrwać na wygnaniu.

Naszpicował najciekawsze detale architektury Hotelu Z, podczas gdy deszcz padał bez ustanku, a my, rozwaleni w hamakach, oddawaliśmy się jedynej właściwej w takich dniach czynności: piliśmy w milczeniu piwo, hermeneutyka przyjaźni polega bowiem na tym, by szanować milczenie drugiej osoby. Wiele lat później chciałem napisać o tym przedziwnym hotelu i poprosiłem „Siódemkę”, by mi przysłał swe rysunki i tym samym wspomógł moją pamięć. Wiele czasu upłynęło, nim je odnalazł, gdyż nie przywiązywał szczególnego znaczenia do tego, co malował lub rysował. W końcu przysłał je faksem, tym ciekawym pozaczasowym wynalazkiem, wypluwającym wiadomości, fotografie, obrazki, które następnie z wolna znikwały, od środka ku brzegom kartki.

Rysunki mego przyjaciela „Siódemki” też znikły z biegiem lat, jednak moja pamięć je zarejestrowała; widzę je, gdy zamknę oczy, i dzięki nim mogę skonstruować niniejszą historię.

Według niektórych bywalców hotelu, których poznaliśmy i z którymi dzieliliśmy ów czas deszczu i kanikuły, Hotel Z otworzył swe podwoje w złotej epoce kauczuku, kiedy wszyscy mieszkańcy Peru, Ekwadoru, Kolumbii i Brazylii mieli się stać bogaczami. Do pierwszych jego klientów należał Henry Ford. Ów producent samochodów, posiadacz milionowej fortuny, chciał zobaczyć drzewa tak obficie tryskające lateksem, na którym jeździły jego wehikuły.

Inni zapewniali, że budowa Hotelu Z była jednym z wielu dziwactw Fitzcarralda; ten obłąkany meloman sfinansował

ją, by ulokować tam Carusa. Jednak najwięksi sceptycy utrzymują, że był to kaprys legendarnego Galveza, poszukiwacza przygód, który ciągnąc za sobą orszak dwudziestu bezwzględnych francuskich kurew, zdecydowanych zostać cesarzowymi nieistniejącego królestwa, ogłosił się imperatorem brazylijskiego stanu Acre. Jednak ani mojego przyjaciela „Siódemki”, ani mnie nie interesowały dywagacje owych osobników spragnionych rumu i pogawędki, hotel bowiem stał na swym miejscu, z pokojami i zakamarkami pełnymi pamiątek, które opierały się upływowi czasu, niezwyciężone niczym pamięć.

Jest tam na przykład cementowy krokodyl zainstalowany w fontannie, która dawniej zachwycała grą wodnych strumieni. W pierwszej połowie XX wieku pułkownik Gerald Scott Morrison - tak kazał się tytułować, choć nikt się nigdy nie dowiedział, w jakiej armii dosłużył się dystynkcji - twierdził, że yacares, kajmany z otaczającej hotel dżungli, są maleńkie niczym jaszczurki, jego zaś obowiązkiem jako biologa - kazał bowiem również zwracać się do siebie tytułem doktora, lecz nigdy nie wyjaśnił, na jakiej uczelni go uzyskał - jest położenie kresu owej anomalii. Trzeba wszak uratować reputację ostatnich krewnych dinozaurów.

Jako człowiek czynu, a zarazem dotrzymujący słowa, pułkownik Morrison sprowadził krokodylego samca z nad Nilu - olbrzymiego gada, który znalazł zatrudnienie w służbie rytyjskiej nauki. Jedynym jego obowiązkiem miała być nieustanna frenetyczna kopulacja wśród bagien i korzeni namorzynów.

Chór miejski z Leticii odśpiewał obowiązkowe hymny na Drzegu Tumba dos Pretos, bajora utworzonego w wyniku zalawania starego cmentarza afrykańskich niewolników przez Wezbrane wody Amazonki, i w takt okrzyków God save the Queen! puszczono zwierzaka wolno.

Reformatorskie zapędy pułkownika Morrisona poniosły jednak sromotną klęskę, gdyż udoskonalacz rasy yacare nie zdołał się zbliżyć do żadnej samicy, miejscowi zaś szydzili z niego bezlitośnie. Upokorzenie, jakiego doznał krokodyl, poruszyło do głębi pułkownika i nieledwie przyprawiło go o depresję. Naprzód szukał ukojenia w whisky, następnie zwrócił się ku rozkoszным marzeniom wywołanym przez karaibski rum, w końcu popadł w ordynarne pijaństwo, odurzając się wódką z melasy. Jako że alkohol zubożył jego język, całymi dniami przeklinał gada, który zamknąwszy ślepią, z pokorą znosił owe obelgi.

Koniec końców, gwoli zademonstrowania brytyjskiej dys-

cypliny, pułkownik postanowił ukarać krokodyla za niedostatek męskości, zamykając go w okrągłym basenie, w którym zainstalował mnóstwo rurek. Zdaniem starych mieszkańców Leticii była to przepiękna fontanna, a desenie malowane przez wodne strumienie przywodziły na myśl olbrzymią przezroczystą orchideę. Karą dla krokodyla miało być owo koliste więzienie pośród cudownych płasów wody, które pułkownikowi Morrisonowi jawiły się jako esencja kobiecości.

Ponieważ krokodyl krążył nieustannie a bez celu po swym więzieniu, jego ciało stopniowo się skręcało i tak zakończył żywot, z grzbietem wygiętym w półksiężyc, stareńki, z sercem pełnym tęsknoty za dalekim Nilem.

Pułkownik Morrison również umarł; jego mężne serce przestało bić pewnego popołudnia podczas walki kogutów i nikt już go nie wspomina. Krokodyl jednak znajduje się tam nadal, mieszkańcy bowiem nie odważyli się go wyciągnąć i aby zapobiec odorowi, zalali zbiornik cementem. Powstał w ten sposób bezkształtny blok, lecz pewien bezimienny artysta, jeden z gości hotelu, poruszony tą historią, postanowił zwrócić basenikowi pierwotną formę i w twardej masie wyrzeźbił krokodyla.

Krokodyl Morrisona figurował na pocztówkach, które nadal można kupić u antykwariuszy w Leticii, Tabatindze, Benjamin Constant, Puerto Alegria lub w Islandii.

Na drugim piętrze Hotelu Z - mamy nadzieję, że nadal widać stamtąd Amazonkę - znajduje się wart wzmianki pokój, jedyny, który nigdy nie jest wynajmowany. Dociera się do niego po schodach o zniszczonych stopniach i mahoniowych poręczach. Dźwięki i zapachy pobliskiej dżungli płyną do środka przez okna, otwarte lub zasłonięte drewnianymi żaluzjami, którym wiatry i upływające lata wyrwały niektóre ukośne listewki. Oczom wchodzącego ukazuje się od razu wielkie łoże spowite delikatną gazą moskitiery upiętej na kształt baldachimu. W tym łożu zwykła baraszkować najsłynniejsza para konkubencka w całej Amazonii: Mauricio - nigdy nie udało się poznać jego nazwiska - „Koguciarz” i Josefina Moreno da Silva, zwana także „Żoną Bliźniego”, była bowiem najbardziej pożądaną niewiastą w okolicy, choć nie istnieją świadectwa, które podawałyby w wątpliwość jej reputację.

Mauricio „Koguciarz” i Josefina Moreno da Silva przemierzali na grzbiecie jucznych zwierząt lub na pokładzie wielkich łodzi pełnych klatek z małymi pierzastymi czempionami, których on doglądał z ojcowskim oddaniem, olbrzymi obszar

bezgranicznej wilgoci. Koguty Mauricia były niezwycięzone; podróżowały ukryte przed wzrokiem ciekawskich w klatkach przysłoniętych brezentem, podziurkowanym dla dostarczenia ptakom powietrza. Jedynie w gęstej atmosferze areny można było oglądać jego potężne Clarety zbrojne w szpony długie na dwa cale, jego Kelso - zawsze nerwowe i o oczach Pełnych nienawiści, pełne wigoru McRae o aksamitnym upierzeniu i przyciętych grzebieniach, Muffsy - prawdziwe maszyny do zabijania, uzbrojone w trzycalowe ostrogi, czy wreszcie delikatne Hiszpany o czarno-białym upierzeniu, które Mauricio określał mianem „starych gladiatorów, którzy nauczyli się walczyć w dalekiej Babilonii”.

W amazońskich osadach koguty Mauricia pozostawiały za sobą korrale skapane we krwi swych adwersarzy, a u ich właścicieli smak porażki, jeszcze bardziej gorzki, gdy siedząc przy stole, siorbali rosół ze swych pokonanych zawodników. Mauricio, z wielkim ręcznie zwijanym cygarem przyklejonym do ust, notował długi, przyjmował należności od tych, co robili zakłady, lub tych, których rasowe kury zapłodnione zostały przez jednego z jego cudownych ptaków. Mawiano o nim, że jest człowiekiem roztropnym. Rozumiał, że zyski z niespłaconych weksli wszyscy zapamiętywali z nienawiścią. Kiedy któryś z hodowców z ciepłymi jeszcze szczątkami swego ostatniego koguta w dłoniach błagał go o ostatnią szansę na arenie, Mauricio pytał, ile jest mu winien oraz czy ma jeszcze koguta i brzęczącą monetę, by postawić zakład. Jeżeli w odpowiedzi biedaczyny usłyszał szczere echo nieszczęścia, wówczas szukał weksli podpisanych przez błagającego, oglądał je uważnie, podpalał, wreszcie przypalał od nich zwijane ręcznie cygaro, które zawsze zwisało mu z ust.

„Kogut oskubany, dług darowany” - mówił, zapraszając dłużnika na szklankę wytrawnego rumu, owego napoju tułaczy, podczas gdy Josefina da Silva stroiła gitarę i nuciła pełne melancholii piosenki o pochodzeniu równie niejasnym jak miłość lub szczęście.

Tuż obok łoża widać dwuskrzydłowe drzwi wychodzące na balkon muskany powiewem wiatru znad rzeki, z na wpół podniesionymi żaluzjami z trzciny, unieruchomionymi przez czas i nieszczęście - tamtędy bowiem wszedł zabójca, podstępnie zbliżył się do drzemiącego po słodkiej miłosnej bitwie mężczyzny i opróżnił swój magazynek wprost na nieprzeczuwającego zagrożenia hodowcę kogutów.

Przy łożu wisi zegar z kukułką, który stanął dwie minuty przed szóstą rano. Jedna z morderczych kul zatrzymała na zawsze czas człowieka i zegara. Gdyby Parka spóźniła się o dwie

minuty, drewniany kogucik, który zastępuje zamontowaną pierwotnie kukułkę z Selva Negra, wyskoczyłby, żeby zapowiedzieć szóstą godzinę poranka, i prawa ręka Mauricia przedłużona o smitha & wesson kalibru 38, zawsze leżącego pod poduszką, wygrałaby partię.

W głębi pokoju, w maleńkim pomieszczeniu służącym jako łazienka, bezimienne dłonie zawiesiły portret naturalnych rozmiarów, który przedstawia Josefina Moreno da Silva będącą świadkiem śmierci swojego mężczyzny, odzianą tylko i wyłącznie w ręcznik. Tak wyglądała w chwili zbrodni, przysłonięta ręcznikiem od pasa w dół, w panicznym geście obiema dłońmi zakrywała usta, a jej obfite piersi o ciemnych sutkach celowały na boki, niczym na francuskim przedstawieniu ojczyzny. To, co działo się z nią i jej życiem po morderstwie, przez wiele lat spowijała tajemnica, aż wreszcie pewien człowiek, mieszkaniec Orellany, rozpoznał ją wśród członków trupy wędrownego cyrku Leocadia Urzui, prezentującego spektakle z udziałem magów i linoskoczków. Ukryta pod pompatycznym imieniem Kasandra, przemierzała nadbrzeżne osady - chiromantka i wróżka niezdolna odczytać własne nieszczęście.

Drugie drzwi pokoju, zamknięte od dnia morderstwa, ukazują poprzez żaluzje taras z czterema bujanymi fotelami, na których zwykła zasiadać para wraz z właścicielem korrala, al-kadem i pewnym wędrownym śpiewakiem, by ze zmęczonym akcentem mieszkańców gaju namorzynów gawędzić, dzielić wygrane, sączyć rum i sprawdzać niepojęte rachunki, jakie zaciąga życie.

Na parterze znajduje się rząd pokoi o niższym standardzie, w obszernej szopie zaś, gdzie umieszczono umywalnie, nadal wisi lustro w drewnianych ramach ozdobionych wizerunkami wielbłądów pędzących pośród samotnych klonów.

To jedyna pamiątka, jaką pozostawił na tej ziemi Abdul Garib Al-Masin.

Opowiadają, że był Libańczykiem o gęstej kruczoczarnej brodzie i że pojawił się któregoś dnia, dźwigając tajemniczy pakunek, do którego nikt nie mógł się zbliżyć, a tym bardziej go dotykać, oraz baryłkę rtęci.

„Zachowujesz się jak czarodziej, a jesteś tylko wytwórcą luster” - powiedział mu ktoś, odkrywszy, że paczka zawiera tafle szkła opakowane w stare gazety.

„Racja, ale w moich lustrach widać dobrą stronę ludzi” - odpowiedział Libańczyk.

I choć mieszkańcy Amazonii nieufnie odnoszą się do cudów - jako że pociągają one za sobą same nieszczęścia - mó-

wią, że najprawdopodobniej tak właśnie było, a gwoli zilustrowania owego twierdzenia odwołują się do historii Benjamina Changa, chińskiego fryzjera, który udzielił Libańczykowi gościny w zamian za lustro.

Zakład fryzjerski Benjamina Changa odwiedzało niezbyt wielu klientów, może dwóch rano i trzech po południu, tak więc obaj mężczyźni mieli sporo czasu, by porozmawiać o swoich sprawach.

Popijając słodką jak ulepek herbatę, kontemplowali samotną, udręczoną upałem ulicę. Chińczyk opowiadał Abdulowi, że Amazonka przypomina mu Jangcy, choć jego stopa nigdy nie powstała w Chinach, poczęto go bowiem na chybcika w jakiejś zakazanej dziurze między Chile a Boliwią. Reprezentował on piąte pokolenie nomadów w swej rodzinie. Pierwsze uciekło przed feudalnym zniewoleniem, drugie ratowało się przed ciemieżcami rodem z Europy. Ocalali przedstawiciele trzeciego pokolenia byli niewolnikami Amerykanów i zbudowali wielką linię kolejową, która połączyła dwa oceany. Czwarte pokolenie pojmano w niewolę, by kopało Kanał Panamski, a potem niewiele brakowało, a uległoby całkowitej eksterminacji przy pozyskiwaniu guana w Chile i w Peru.

„To była najgorsza część historii rodziny: uwieszeni na skałach piętrzących się pośród morza, mężczyźni i kobiety, dzieci i starcy, zbierający gówno dla użyźnienia ziemi, której owoców nigdy nie będzie im dane skosztować. Niektórzy spadali do morza, bo byli straszliwie osłabieni, innych zmiotły zdradzieckie fale Pacyfiku. Nikt nie umiał pływać, ale nauczyli się chwycić jakiegokolwiek unoszącego się na powierzchni przedmiotu, by się wyswobodzić z tego piekła. Moim czcigodnym rodzicom się udało; skoczyli do wody, uczepliwszy się wyrwanych z mola desek, i dali się unosić falom, aż przyływ wyrzucił ich na plażę w pobliżu Antofagasty. Pod koniec dziewiętnastego wieku Chińczycy, którzy zbiegli z guaneras, uważani byli za coś gorszego od zwierząt i mieli ulec eksterminacji. Uciekając na wschód, oddalali się od morza, wreszcie przebyli pustynię Atakama. Podczas tej podróży postanowili mnie zrobić i tak oto przyszedłem na świat, niczym uciekinier. Nie jestem ani Chilijczykiem, ani Peruwianczykiem, ani Boliwijczykiem; jestem zbiegłym Chińczykiem, a ta przeklęta rzeka o jednym brzegu zamyka mi drogę” - powiedział Benjamin Chang, podczas gdy Libańczyk mieszał pływające w herbacie płatki jaśminu.

„O ile jest pewne, że przyszedłem na świat w Al-Batrun, o tyle nie mam żadnej pewności co do moich przodków. My,

Libańczycy, zawsze uciekaliśmy przed najeźdźcami: Fenicjanami, Asyryjczykami, Egipcjanami, Grekami, Rzymianami, Arabami, Turkami, Francuzami; wszyscy oni zmuszali nas, byśmy im służyli lub z nimi handlowali. Tak oto zawsze uciekaliśmy, by nie dać się oszukać lub gwoli uniknięcia zemsty oszukanych. Jestem wędrowcem, który nie pozostawia śladów: pozostawiam lustro" - opowiadał Abdul Garib Al-Masin, który nie nosił w sercu żadnej pretensji do losu.

Po kilku dniach pobytu w Tres Fronteras ukończył lustro dla Chińczyka, a ten osobiście je zawiesił obok skórzanego fotela z opuszczanym oparciem, zdobionego brązem i porcelaną. Mężczyźni, którzy wchodzili do zakładu, spoglądali najpierw w lustro dość obojętnie, usadowieni w fotelu, bacząc, by brzytwa Chińczyka nie pozbawiła ich wypukłości policzka lub połowy ucha, jednak kiedy otwierali oczy po relaksującym masażu gorącymi ręcznikami, zwierciadło ukazywało im wprawiający w zakłopotanie obraz. Wówczas po raz pierwszy płacili bez szemrania, nie uskarżali się na nieistniejące zadrapania brzytwą, zostawiali nawet sute napiwki i wychodzili z zakładu, macając policzki, gładkie niczym sutki zakonniczy, z gorliwym postanowieniem, że staną się odtąd mniejszymi łajdakami.

Drugie lustro Libańczyk wykonał dla rzeźnika z Tabatingi, Portugalczyka z Alentejo, który postanowił zawiesić je za ladą, by podwajało obraz dyndających na hakach połci mięsa. Klienci widzieli swe oblicza wśród wieprzowych żeberk i ćwiartek wołu. Kumoszki od pierwszego dnia nabrały zaufania i z przyjemnością przyglądały się pewnym ruchom Portugalczyka dzielącego mięsiwo, w domu zaś zbierały pochwały domowników, którzy wynosili pod niebiosa mięciutkie pieczone, owe kotlety z rusztu i skwareczki w fasolowym gulaszu feixoada, warzonym cudownym sposobem.

Po jakimś czasie, na prośbę proboszcza z Puerto Alegria, Libańczyk zawiesił kolejne lustro za misą z wodą święconą i zaraz skarbonka dosłownie spuchła od nagłego miłosierdzia odkupionych grzeszników.

Opowiadają, że wszystko szło wspaniale, dopóki nie przysposobił przepięknego lustra w barokowych ramach dla żony alkada Islandii. Abdul Garib Al-Masin osobiście sprawdził, czy hak jest dobrze wbity, i wypoziomował zwierciadło, w którym odbijało się małżeńskie łoże, po czym oddalił się, poczywszy szczęśliwą właścicielkę, że jego lustro należy myć wyłącznie roztworem alkoholu i octu.

Tydzień później radny miejski zwołał mieszkańców miasteczka na Plaza de Armas i z nietęgą miną ogłosił zwrot

środków należących do szkoły, które przeznaczył na zakup rozległych pastwisk i liczne hulanki w burdelach Leticii. Zgromadzeni na placu nie posiadali się ze zdumienia wobec takiego wyznania, a ich zadziwienie jeszcze wzrosło, gdy pierwsza dama Islandii oznajmiła, że zrywa od tej chwili raz na zawsze swe relacje pozamałżeńskie z kapitanem strażaków, księgowym urzędu miejskiego, a także sprzedawcą produktów dla zwierząt, którego nazwiska nie wyjawiała z czystej przyzwoitości.

Abdul Garib Al-Masin został oskarżony przez władze trzech pogranicznych państw o działalność wywrotową godzącą w porządek publiczny, jednak podczas gdy rządy peruwiański, kolumbijski i brazylijski spierały się, do którego z nich należy pojmanie Libańczyka i pozostawienie go w dżungli na ścieżkach bez powrotu, ów wraz ze swym przyjacielem Benjaminem Changiem uciekł gdzie pieprz rośnie.

Są tacy, co przysięgają, że widzieli ich oddalających się czółnem motorowym, jednak - nieważne, jaką formę obrali, wypełniając swój los nomadów - pewne jest, iż popłynęli Amazonką aż do jej ujścia i wyszli na ląd na północnym brzegu. W Kajennie, przedziwnym francuskim mieście o brzegach omywanych falami Atlantyku barwy terakoty, pozostali niedługi czas, oddając się swym zwykłym zajęciom, a stamtąd wyruszyli dalej do Paramaribo, albowiem Holendrzy kochają zręcznych fryzjerów, a w handlu niezbędne są lustra zwielokrotniające widok wszelakich dóbr.

W umywalni Hotelu Z nadal wisi lustro ozdobione sylwetkami klonów i wielbłądów. Żaden z klientów nie opuścił hotelu, nie uiściwszy należności.

Jan Skerenson pojawił się pewnego deszczowego poranka, poprosił o pokój bez widoku, skrzynkę trzcinówki, zapłacił za czterdzieści dni z góry i zapowiedział, że nie wolno mu przeszkadzać, gdyż odbywa właśnie czterdziestodniowy okres żałoby po miłości.

Niewiele później okazało się, że mężczyzna ów jest Duńczykiem, marynarzem w służbie na ładzie, i że jęki, jakie prawie bez ustanku wydobywały się z jego piersi, nie były skutkiem biczowania, tylko formą wyrażania żalu. Pochylony nad pustym akwariem, do którego spływały łzy, ów zboreźnik opłakiwał największy na świecie smutek miłości.

Na dnie szklanej kuli było nieco białego piasku, kilka karaibskich muszli i wyrzeźbiona z szylkretu syrenka z baśni Andersena, leżąca na wznak.

Czterdzieści dni i towarzyszących im nocy płakał ów Duńczyk, a jego łzy spływały na dno akwariem. Litościwe dłonie

podsuwały mu talerze z jedzeniem, które następnie odbierano prawie nietknięte, właściciel hotelu zaś wziął na siebie obowiązek uzupełniania zapasu trzcinówki. Marynarz płakał płaczem nieutulonym, gdyż wcale nie chciał ani nie potrzebował pociechy. Niekiedy można było usłyszeć, jak przeklina w swym prastarym języku żeglarzy, a po tych słowach szloch rozbrzmiewał ponownie, z większą mocą. W dwudziestym dniu jego łzy wypełniły akwarium do połowy, a syrenka próbowała stanąć na swym rybim ogonie.

Smutek Duńczyka rozlał się po hotelu; goście skradali się na paluszkach, a rozmowy w jadalni przekształciły się w szept, które przycichały, gdy pojawiał się właściciel. Ograniczał się on do patrzenia na biesiadników, po czym zamykał oczy, wyrażając zarazem lekkimi ruchami głowy wdzięczność za solidarne milczenie. Nikt nie zbliżał się nawet do stołu bilardowego, a deszcz padający bez przeszkód na krokodyla Morrisona był po prostu przedłużeniem owego smutku.

Czterdziestego pierwszego dnia Duńczyk opuścił hotel, podobnie jak się pojawił, nie zostawiając żadnego przyjaciela ani wroga, jak mają to w zwyczaju osobnicy skazani na miłość bez wzajemności. Zostawił jednak akwarium i kiedy „Siódemka” i ja je ujrzeliśmy, syrenka nadal stała, z rozpostartymi ramionami, zachęcając do rozkoszy zarezerwowanych jedynie dla topielców i innych istot morskich.

Wiem, że z każdym upływającym dniem dżungla opanowuje Hotel Z. Możliwe, że w godzinie, gdy zapisuję owe wyblakłe wspomnienia, przegrał on walkę z lianami i jego ostatnimi gośćmi są zwierzęta. Może tylko deszcz i iguany odwiedzają tarasy, a sędziwe wyłączniki mogą co najwyżej rozjarzyć niepewny blask świetlików. Może Hotel Z wpisał się już ostatecznie do albumu wspomnień nas wszystkich, którzy tam się znaleźliśmy, utrwalił nas w księdze gości, zajmowali pokoje, za jedyne towarzystwo mając leniwe obroty wentylatorów, piliśmy rum i trzcinówkę, porządkowaliśmy namiętności, zwierzałyśmy się sobie z rozmaitych pomysłów, ukołysani przez deszcz, i w końcu zdecydowaliśmy, co począć z tym cholernym przywiązaniem, jakim jest życie.

Biesiada z umarłymi poetami

Hugo Arai, „Dzikiemu”,

zamordowanemu przez chilijskich żołnierzy

na terenie Uniwersytetu Technicznego

12 września 1973.

Francisowi Melo Santosowi, „Panchowi”,

autorowi wznecających ogień wierszy.

Odebrał sobie życie w Santiago w 1971
i nigdy nie dowiedzieliśmy się dlaczego.

Robertowi Contrerasowi Lobosowi,

„Emerytowi”,

poecie czułości.

Umarł ze smutku w 2006.

Jedliśmy właśnie kolację w Off the Record, ostatniej
w Santiago restauracji w stylu odpowiednim dla cygane-
rii. Jada się tam dobrze, wina są znakomite, obsługa niezrów-
nana, a ceny przyzwoite. Jak zwykle zrezygnowaliśmy z dese-
ru, zamówiliśmy za to kolejną butelkę wina. „W końcu robi
sieje z owoców” - mruknął któryś z nas i wszyscy zgodziliśmy
się ochoczo z tym stwierdzeniem. Wtedy, jak zawsze gdy się
spotykamy - garstka przyjaciół mieszkających w Chile albo
rozproszonych po świecie - jeden z uczestników biesiady za-
pytał, czy w czasie, jaki upłynął od naszego ostatniego spot-
kania, ktoś umarł.

Wszyscy jak na komendę zajrzeliśmy w głąb kieliszków,
szukając tam potwierdzenia jednej z najsmutniejszych
prawd - tej, która uczy nas, że najgorzej jest skończyć pięć-
dziesiątkę, w tym wieku bowiem zaczynamy na zawsze tracić
przyjaciół.

Przyjaciele nie odchodzą tak po prostu: oni nam umierają,
jakaś okrutna siła odrywa nas od nich i odtąd żyjemy okale-
czeni, jakby z dziurami pomiędzy kośćmi.

Każdy z nas, przejrzawszy w pamięci swą listę przyjaciół
i stwierdziwszy, że nikt nie upadł pod ciężarem życia, unosił
wzrok znad kieliszka i zaczynał oglądać galerię fotografii zdo-
biących ściany Off the Record. Pisarze, wielu poetów, aktor-
ki, aktorzy, a także poetki i bardowie.

- Nie wiem, czy to wszyscy i czy są tu wszyscy, którzy ży-
ją, ale wielu brakuje - wyraził swe zdanie któryś z biesiadni-
ków, wskazując te fotografie.

- Na przykład kogo? - zaciekał się inny.

- A skąd ja mogę wiedzieć? Na przykład „Dzikiego”.

Wtedy, jak zawsze, napełniliśmy kieliszki i zaczęliśmy roz-
mawiać o „Dzikim”.

Hugo Araya był olbrzymem, miał ponad metr dziewięćdzie-
siąt wzrostu, wygląd baskijskiego piodrolari, szopę czarnych,
przyprószonych przedwczesną siwizną włosów sięgających
ramion i również przetykaną srebrem brodę, która zakrywała
mu połowę piersi. Taki był „Dziki”.

Romantyczny poeta, aktor komediowy i malarz miniatur,
pasjonował się również obrazem - ów kudłaty olbrzym stał się
najlepszym operatorem telewizyjnego Canal 9, narzędzia bun-

towników z Uniwersytetu Chilijskiego.

Kamera zawsze była dlań najlepszym sposobem patrzenia na świat. Żył i spał przytulony do niej. Zrewolucjonizował nawet technikę noszenia ciężkich kamer z lat siedemdziesiątych; z kilku drążków łączonych śrubkami zmontował urządzenie, dzięki któremu mógł się poruszać z całkowitą swobodą podczas manifestacji - kamera nie przeszkadzała mu w niczym. Tak oto, mimowolnie, został pierwszym w historii operatorem steadicamu.

- Chcicie usłyszeć historię „Dzkiego”? - zapytał jeden z biesiadników i jak zawsze rozpoczął opowieść, nie czekając na potwierdzenie.

Pewnego wieczoru w sześćdziesiątym dziewiątym, gdy już napchaliśmy się empanadas w klubie Chile Śmieje się i Śpiewa, „Dziki”, Roberto Contreras, Pancho Melo i niżej podpisany postanowiliśmy wstąpić na łyceczek na Plaza de Armas, choć ów łyceczek tak naprawdę był pretekstem, by dotrzymać towarzystwa poecie Contrerasowi, który opowiedział nam już chyba z tysiąc razy o cielesnych powabach swojej ostatniej zdobyczy, barmanki z kawiarni Marco Polo.

- A tyłeczek? Jak tam z tyłeczkiem? - wypytywaliśmy go.

- Nie bądźcie prymitywni... ale w końcu, braciszku, ma tyłeczek z tych, co jak im podstawisz mikrofon, to zaśpiewają - mówił poeta, wypinając pierś.

Wyszliśmy na La Alameda, dotarliśmy do Ahumady i skierowaliśmy się w stronę placu, strasząc ludzi Hugonem Araya.

- Uwaga, nie podchodźcie! On gryzie! - wrzeszczeliśmy i niejeden z przechodniów, wzięwszy sobie ostrzeżenie do serca, wolał się oddalić na bezpieczną odległość.

„Dziki” siał spustoszenie, wydając ryki astmatycznego lwa, a kiedy udawał, że rzuca się do ataku, przytrzymał go, święcie oburzeni.

- Pancho, prędzej, daj mu pastylkę na uspokojenie! - darliśmy się poeta Contreras i niżej podpisany.

Poeta Pancho Melo wskakiwał mu na plecy, otwierał przemocą usta i faszrował go jedną ze swych niezastąpionych pastylek witaminy C, zasadniczej podpory zdrowotnej bardów, jak zapewniał.

Zanim weszliśmy do Marco Polo, „Dziki” zwołał naradę wojenną, z zamiarem wymuszenia na poecie Melo, pod groźbą kopa w zadek buciorem numer 48, iż powstrzyma się, ale to całkowicie, od sprzątnięcia Robertowi jego nowej zdobyczy sprzed nosa.

- Spokojnie, „serce to samotny myśliwy” - zapewniał pojednawczo poeta Contreras.

- Pozwólcie mi chociaż napisać sonet - bronił się Melo.

W Marco Polo podeszliśmy do bufetu, poprosiliśmy o kilka piw, które wypiliśmy szybko, gdyż powabów cielesnych owej panny w żaden sposób nie potrafiliśmy dostrzec, i poszliśmy sobie, wygłosivszy komentarz, że być może długi biały fartuch, który nosiła, był nazbyt obszerny.

Pozostawiliśmy Roberta samego, przyklejonego do butelki fanty; był to jedyny napój, na jaki sobie pozwalał, by nie utracić nawet na moment wyglądu masona kontemplującego swą zdobycz, a zarazem, jak przystało na prawdziwego sybarytę, kichającego od czasu do czasu potężnie za sprawą drażniącej mu nozdrza srebrnej szpilki od krawata.

" Słyszeliście, jak go powitała? „Dobry wieczór, don Roberto"

• Cóż za obrzydliwość! - rzekł Salvador.

"" Ta samica to czysty ogień, jest biegła w sztuce uwodzenia- W tym „dobry wieczór" słyhać było słodką obietnicę nocnych rozkoszy - podkreślił Pancho Melo.

"" „Don Roberto". Kiedy kobieta zwraca się do mnie „don Hugo", lecę do geriatryka - podzielił się refleksją „Dziki".

" To pokazuje, kim jesteś: kompletnym dzikusiem. Roberto ma wygląd kolonialnego rycerza z dawnych czasów; jego miejsce jest w Złotym Wieku, kiedy to prawdziwi rycerze trwali w stanie bezzennym. Rycerz bezzenny. Cóż za wspaniały tytuł dla sonetu zadedykowanego Robertowi! - oznajmił Pancho Melo.

"" Ale skurwysyn! -wygłosiliśmy chórem „Dziki" i państwa sługa uniżony.

To prawda - oznajmił poeta Melo i zaczął nam opowiadać tysięczną wersję swej biografii.

Jego wiersze były bardzo dobre, jednak prawdziwy talent Polegał na wymyślaniu każdego wieczoru innej biografii, tym razem okazało się, że jego matka, którą wszyscy znali-srn-y, była w rzeczywistości jego guwernantką, a zarazem matką adopcyjną, gdyż ojciec, hrabia Melosky, doradca rodziny Romanowów na wygnaniu, złożył ślub czystości, który miał wypełniać do chwili, gdy dziedzic carów ponownie obejmie rządy w Rosji. Jednak prawdziwa matka poety, hrabina, miała zwyczaj wyrzucać małżonka z alkowy pod pretekstem modlitwy o odrodzenie monarchii, a o świcie, kiedy wreszcie pozwalała mu tam wejść, hrabia nierzadko znajdował w łożu pióra. Białe pióra. Hrabina zapewniała, iż należały do archanioła napędzającego ją podczas modlitwy.

Naturalnie były to gęsie pióra. Potem przyszedłem na świat i przyjechaliśmy do Chile. Ciąg dalszy jest niewart

wzmianki - zapewniał.

- Zatem jesteś synem wzmiankowanej hrabiny Melosky - rzekł „Dziki” i zaczęliśmy się zaśmiewać, aż w pewnej chwili naszą radość zmroził smutek.

Na ławce na placu siedziało dziecko, mały szkrab zgarbiony niczym starzec. Miał nie więcej niż dziesięć lat i szlochał rozpaczliwie.

- Co się stało, mistrzuniu? - spytał „Dziki”.

Połykając smarki, mały powiedział, że ktoś mu ukradł pudło pucybuta wraz z całodziennym zarobkiem i boi się wrócić do domu.

„Dziki” oznajmił, że musimy coś zrobić, i zawołał innego pucybuta.

- Kumie, wynajmuję na godzinę twoje pudło razem ze wszystkim w środku.

Pucybut, pomnażając zręcznie swoje zawodowe osiągnięcia, powiedział, że w godzinę czyści mniej więcej piętnaście par butów i że za taką cenę wypożyczy nam pudło.

Zapłaciliśmy i „Dziki” wręczył małemu pudło.

- No dobra, mistrzuniu, rób na błysk - zarządził.

- Zaraz, ja mam sandały - zaprotestował poeta Melo.

- Wal się, Melosky - odparł „Dziki”.

Mały wytarł smarki rękawem swetra, łączy wierzchem dłoni, po czym uderzył dwa razy szczotką w pudło, dając sygnał, że jest gotów obsłużyć pierwszego klienta.

Szczotka, barwnik, energiczne przetarcie gałganem, pasta, znowu szczotka i na koniec polerowanie dla nadania blasku i wydobywania ze lśniącej skóry pisku godnego kanarka. „Dziki” ze swymi błyszczącymi buciorami ustąpił miejsca poecie Melo, którego sandały i stopy pomimo starań małego przybrały nieskazitelnie kasztanowy odcień. Następnie chłopiec zajął się moimi mokasynami i przyjął zapłatę.

- Jak idzie, mistrzuniu? - skonsultował się z nim „Dziki”.

Mały popatrzył na bilon i na jego buzi dziesięciolatek pojawił się ponownie wyraz beznadziei.

- Spokojnie, mistrzuniu. Mamy czas - uspokoił go „Dziki”.

Zaczęliśmy bez zwłoki deptać sobie nawzajem po stopach, aż w końcu butów nie można było rozpoznać. Poeta Melo, powołując się na delikatność swych sandałów, odsunął się od nas na bezpieczną odległość i wyrwał pęk trawy, którą natarł swe franciszkańskie obuwie.

Po czwartej rundzie czyszczenia i brudzenia butów zebrało się więcej ludzi, przedstawiciele cyganerii, którzy wychodzili z Black and White, z Marco Polo, Faisan d'Or, Chez Henry. Wy tłumaczyliśmy im cały problem i zaraz liczba klientów wzrosła

dwudziestokrotnie - takie bowiem było Santiago tamtych lat. Ubrudzone pastą ręczki fruwały, szczotkując, nakładając barwnik, pastę, flanelową szmatką nadając ostateczny połysk, i chłopczyk uśmiechał się, ścierając z buzi rękawem resztki smutku.

Minęła umówiona godzina i właściciel pudła, dość zirytowany sukcesem zawodowym kolegi, zażądał zwrotu swego narzędzia pracy.

- No i jak, mistrzuniu? Wygraliśmy bitwę produkcyjną? - spytał „Dziki”.

Mały przeliczył zarobek, kiwnął głową i porozkładał pieniądze po kieszeniach.

- Dziękuję bardzo za wszystko, panowie - powiedział, podając nam ubrudzoną pastą rączkę.

- Mówi się: „Dzięki za wszystko, towarzysze” - poprawił go „Dziki”.

Przeszliśmy na drugą stronę do Marco Polo, by sprawdzić, co z Robertem, i znaleźliśmy go tam dosłownie spuchniętego od fanty. Gotował się do przeczytania nam swego najnowszego wiersza o smutnych miłosnych przygodach w świecie gastronomii, powstrzymał się jednak, wskazując ze zdumieniem nasze lśniące buty i stopy poety Melo, połyskliwe kasztanowe.

- Co wam się przydarzyło? - spytał spośród oparów fanty.

- Nic takiego. Oczyszciliśmy swoje dusze - odpowiedział „Dziki”.

Kieliszki napełniono winem. Do naszego stolika w Off the Record podeszło wielu bywalców, pragnących posłuchać tej historii. Czasami wino jest płynną manifestacją ciszy.

- Taki był Hugo, taki był „Dziki” - mówi któryś z nich.

- Nie. Taki jest „Dziki”. Dopóki przywołujemy naszych zmarłych i opowiadamy ich historie, póty nie umierają - dorzuca ktoś inny.

I wznoszą się kieliszki, i uderzają o siebie w rytm radosnego głosu dzwonów owej braterskiej nocy Santiago.

Mała historia

Pamięci mego brata Rafaela Ramireza Heredii,
który wiedział, skąd pochodzi ta historia

Czekam tu od dwóch godzin i nie obchodzi mnie, że się na mnie gapią - mamrocze cicho, szukając jednocześnie swego odbicia w rogu lustra, gdyż chcę przygładzić włosy i poprawić węzeł krawata. W lustrze widać wiele rzeczy: plecy ze sztucznego materiału, którym wyróżniają się markowe marynarki, nogi spowite w len spodni, nadchodzi bowiem la-

to, dziwaczne struktury antropomorficzne podtrzymujące koszule lub swetry, z tych, które się nosi niedbale na ramionach, a pomiędzy dwiema parami mokasynów znajduje się też moja głowa, moja twarz nieco nerwowa, poważna, pełna nadziei.

Ludzie patrzą na mnie, niektórzy się uśmiechają, inni częściej kuksańcem towarzysza, zwracając na mnie jego uwagę. Wiem, że nie dzieje się tak z powodu mego stroju. Nagi czy odziany, nigdy nie przejdę niezauważony. Zerwałem kilka kwiatów w pobliskim parku, nic nadzwyczajnego, pospolite kwiaty, które tam rosły w zasięgu ręki. Nie wiem nawet, jak się nazywają.

Przyjdzie? Wątpię, wiem, jak trudno przezwyciężyć lęk, który nie jest lękiem, wstyd, a może coś innego, poczucie winy, jakże niewinne! Wątpię i żeby ukoić nieufność zrodzoną podczas tych godzin oczekiwania, zapalam papierosa. Teraz przyciągam o wiele więcej spojrzeń przechodniów. Zawsze tak jest. „Pali”, „je”, „płacze”. Cokolwiek bym robił, zawsze tak jest.

W pewnej chwili spoglądam na bukiet i dostrzegam moją rękę, która zamiast trzymać kwiaty, ściska je i zgniała z ową pozbawioną mocy gwałtownością, wystarczającą jednak do zniszczenia delikatnych roślinnych łodyżek. Uśmiecham się na myśl, że w tak krótkim czasie zwiędły niczym sztandary karłowatej armii zwyciężonych, a ich obwisłe płatki mówią mi, że czas się sposobić do odwrotu.

Wyrzucam kwiaty do pierwszego napotkanego kosza i odchodzę, ścigany spojrzeniami przechodniów i ich głosami: „Widziałeś, jak karzełek wyrzucił kwiaty?”, „Czyżby czekał na randkę?”, „Z karliczką?”, „Załatwili karzełka”, „Karłów nie ma zbyt wielu” - i innymi komentarzami karłowatej postury, na które nie mam ochoty ani obowiązku odpowiedzieć.

Złote serce Marii

Gerdowi Gerhardowi

za wiele przegadanych butelek

Dwa hausty nasyczonego oparami marihuany powietrza
Ipanemy starczyły, bym się poczuł jak ojczulek i szanowany pan. A jeśli dodać do tego parę łyków trzciny plus istny oczopląs, człowiek miał wrażenie, że znajduje się w samym centrum lepszego świata, który wszelkimi siłami pragnie ukażać piękno swych stworzeń; te zaś, za jedyny przydziewek mając obowiązkowe majteczki typu tanga i rytm samby, zapraszały do rozkoszy i zapomnienia o płynącym czasie.

Padał deszcz konfetti, dziewczyny z Rio hojnie rozdawały kondomy, wyła syrena karetki, która bezskutecznie usiłowała

znaleźć dla siebie drogę, ja uczepliłem się bioder Giseli, ona zaś rzucała właśnie biustonosz w tłum, szczęśliwa, że może uwolnić ekshibicjonistkę, którą nosiła w swym wnętrzu. Wówczas ujrzałem starca, przebranego - tak mi się wydało na pierwszy rzut oka - za cangaceiro. Ominął Gisele, nie obdarzywszy nawet odrobiną uwagi jej dumnego biustu niemieckiej matrony, i stanął naprzeciw mnie, ukazując swe ręce wieśniaka.

- Dobra rada za parę groszy - powiedział.

Ton jego głosu był poważny, zastanawiający w tym otoczeniu, gdzie rytm samby zalewał wszystko, nawet oddech, a jego sfatygowane odzienie i kapelusz ozdobiony monetami i religijnymi symbolami nadawały mu jakąś przedziwną godność pośród obnażonych ciał.

Włożyłem rękę do kieszeni, żeby wyciągnąć trochę bilonu, a drugą złapałem Gisele za jedyne, za co się dało: gumkę od jej majteczek tanga. Ekshibicjonistka, którą nosiła w duszy, stała się panią sytuacji, zatem Gisela odsunęła się, uszczęśliwiona, że oto może zostać całkiem naga.

Stary wziął monety i ruchem ręki nakazał mi obejrzeć się przez ramię.

- Maria das Mortes żąda tego, co się jej należy - rzekł, gdy się odwracałem.

Tłum otaczał karetkę, a kilku pielęgniarzy okrywało zwłoki kogoś, kto nie obejrzy końcowej defilady szkół samby. Pomiedzy sanitariuszami a nieboszczykiem podrygiwała Mulatka o doskonałym ciele, skręcając się w rytm muzyki, którą tylko ona słyszała; jej skóra lśniła, lśniło także maleńkie serduszko z czerwonych cekinów, zakrywające seks. Domyślałem się, że jej oczy lśnią jeszcze mocniej, jednak gdy obracając się w tańcu, uniosła ręce do włosów i odsłoniła twarz, ukazała się biała maska bez wyrazu, rodem ni to z komedii, ni z tragedii. Zamiast oczu zobaczyłem jedynie mroczne czeluście.

Kiedy się odwróciłem, stary gdzieś przepadł, a po Giseli zostały jedynie majteczki tanga, które zwisały z mej dłoni niczym absurdalne wspomnienie.

Przepychając się przez ciżbę tancerzy, wróciłem do hotelu.

Wyczerpany, gdyż pływanie pod prąd naprawdę męczy, rzuciłem się na łóżko, żywiąc nadzieję, że Gisela wkrótce się pojawi. Wyobrażałem sobie, jak po powrocie do Hamburga opowiada kolegom z redakcji, że spacerowała nago po ulicach Rio de Janeiro, a ja, z oczyma utkwionymi w teleksie, potakuję, dodając: „Tak było, ni mniej, ni więcej”.

Mijały godziny, świt wyciszył sambę, zmęczenie pokonało głosy, ja zaś patrzyłem na aparaty fotograficzne Giseli wiszące na oparciu krzesła. Jakiś niewytłumaczalny impuls popchnął

mnie ku torbie, w której trzymała rolki filmów i obiektywy. W kieszeni przeznaczonej na notes znajdowała się makieta albumu z fotografiami. Były to zdjęcia robione przez Gisele w rozmaitych miejscach świata, w wielkich aglomeracjach, często podczas karnawału. To dziwne, pomyślałem, nigdy mi nie mówiła, że przygotowuje album. Zacząłem przerzucać stronice i pomimo wilgotnego upału Rio poczułem lodowaty prąd przechodzący mi po kręgosłupie.

Pod fotografią widniał krótki tekst: „Fasnacht, Bazylea, luty 1996”. Na zdjęciu ludzie przebrani w obszerne szaty błaznów i olbrzymie maski, z piszczałkami i bębnami, otaczali szwajcarskich sanitariuszy, którzy okrywali martwe ciało. Obok nich, naga na śniegu i najwyraźniej niewidoczna dla tych, co na nią patrzyli, piękna Mulatka o błyszczącej skórze; serduszko z czerwonych cekinów lśniło na jej seksie, białą maskę uchwycono w grymasie, w którym mieszają się komedia z tragedią.

Człowiek buntuje się wobec tego co nieuniknione i wyrzuca z siebie jakby przypadkowe słowa, które opuszczają usta, pozostawiając gorzki smak pewności. Były też inne fotografie: z pogrzebu sardynki w Gijón, z karnawału w Andacollo z mieszkańcami Altiplano przebranymi za chińskie smoki, z karnawału w Kolonii z Niemcami parującymi piwem, a na wszystkich Mulatka z czerwonym serduszkiem na seksie i nieulekłą maską obok kogoś, kto przyjmował właśnie pośmiertny hołd sanitariuszy.

Imię Giseli zarysowało na mych wargach bolesny grymas. Powtarzałem je niczym przekleństwo, aż świt przykleił się do okien, a ja poczułem jej obecność po drugiej stronie szyby. Wyszedłem na balkon i je ujrzałem. Przeszły obok drzwi do hotelu, nie zatrzymując się. Gisela, spowita w przejrzysty wolał, który Mulatka podtrzymywała jej na ramionach, pozwalała się prowadzić ku zejściu na plażę, a stamtąd ku morzu.

- Mario! - zawołałem. - Mario das Mortes!

Odwróciła się, uniosła twarz, na której widniał ów wyraz ostateczny, przez wszystkich nas uznany za maskę, wyciągnęła rękę i lekkimi ruchami palców zażądała tego, co jej się należy. Podbiegłem do łóżka, złapałem album, wróciłem na balkon i rzuciłem go w jej kierunku. Zaraz potem popędziłem na dół na złamanie karku.

Gisela dygotała z zimna, cuchnęła trzciniówką i marihuaną, powtarzała nieustannie: „Dobra dziewczyna, dziewczyna o złotym sercu”.

Po Mulatce pozostały jedynie ślady na piasku. Prowadziły ku morzu i nikły gdzieś w rozmytej strefie poza czasem

i przestrzenia, tam gdzie morze łączy się z lądem, w owej nieuniknionej ojczyźnie żywych i umarłych.

Ding-DONG, DING-DONG,

TAKI JEST MIŁOŚCI LOS

Josepowi Marii Casadevall i Vidal,

który nauczył mnie jeść

Oboje mieliśmy po czternaście lat, kiedy ujrzeliśmy po raz pierwszy swe odbicia w zwierciadłach olbrzymiej sali bankietowej Ośrodka Katalońskiego w Santiago. Odbywała się tam właśnie uroczystość zakończenia kursu dobrych manier, na który santiageńskie rodziny należące do klasy średniej zapisywały swoje dzieci, by nauczyły się zasiadać elegancko przy stole, używać w sposób należyty widelców i noży, nie mylić kieliszków do wody z tymi do wina - czerwonego, białego lub szampana. Uczono nas również tańczyć walca, paso doble, cuecę, jednak ja zdecydowałem się na odważne kroki tanga, gdyż gruchanie bandoneonów sprawiało, że czułem się bardziej męski.

Mistrz ceremonii posadził nas naprzeciw siebie. Przeklinałem w duchu, że nie umieszczono mnie obok niej, zostałem bowiem tym samym pozbawiony możliwości wykazania się przed nią doskonale wyuczonymi gestami kawalera o nienagannych manierach, począwszy od przytrzymania oparcia krzesła damy i leciutkiego przysuwania go do stołu, gdy siadała. Byłem zatem zmuszony zadowolić się wykonaniem subtelnego ukłonu, na który odpowiedziała wdzięcznym skinieniem głowy.

Ona - ach, ona! - miała długie, sięgające za łopatki włosy koloru kasztana; zdawały się doskonałym uzupełnieniem sukienki z białego muślinu. Ja, podobnie jak wszyscy chłopcy, przypominałem artretycznego pingwina w smokingu, z wykrochmalonym plastronem i muchą na gumce.

Kiedy utkwiała we mnie spojrzenie swych wielkich oczu, poczułem, że dłonie mnie swędzą, krawat dusi i koniecznie muszę coś zrobić. Wziąłem więc do ręki serwetkę i wierny wskazówkom nauczyciela dobrych manier potrząsnąłem nią nieco gwałtownie, aby się rozprostowała, zanim ją położę na prawym udzie.

- Co z panem? Chce pan zatańczyć cuecę, sambę, chammame? - dobiegł mnie z końca stołu głos mistrza ceremonii.

Dziewczęta, stłumiwszy śmiech, spiekły raka, chłopcy zaśmiali się bez skrępowania, ja zaś poczułem się żałośnie.

Ona jednak, nie spuszczać ze mnie wzroku, również wzięła serwetkę, strzepnęła ją, po czym upuściła na podolek.

Mistrz ceremonii zignorował pogwałcenie protokołu, zabręczał dzwoneczkiem i oto rozpoczęły się prezentacje. Kie-

dy nadeszła nasza kolej, nogami odepchnąłem krzesło, wstałem, przedstawiłem się, dodając, że jestem uczniem Instituto Nacional i że ogromnie mi miło ją poznać. Ona, skinąwszy dyskretnie głową, powiedziała, że ma na imię Marly, jest uczennicą Santiago College i ogromnie jej miło mnie poznać. Zmartwiłem się, usłyszawszy o Santiago College. Było to gimnazjum, do którego uczęszczały córki wyższej burżuazji, Instituto Nacional zaś, wręcz przeciwnie, słynne było ze względu na buntowniczy i „czerwony” charakter swoich uczniów.

Imitacja kolacji przebiegła bez poważniejszych incydentów. Nikt nie siorbał zupy, nikt nawet nie musnął widelcem talerza przy krojeniu szparagów. Nikomu nie zdarzyło się pomylić sztućców do ryby z tymi do mięsa ani też kieliszków. Podobnie toczyły się konwersacje przy stole. Marly powiedziała, że szparagi jej zdaniem są przepyszne, a ja odpowiedziałem, iż zgadzam się z nią w zupełności. Ja mówiłem, że lustra powiększają optycznie salę, a Marly odrzekła, iż podziela mój interesujący punkt widzenia. Każda para zamieniła ze sobą pewno z tysiąc słów, nikt jednak nie powiedział absolutnie nic kompromitującego czy zakłócającego harmonię. Ku radości mistrza ceremonii zachowywaliśmy się jak stu procentowi cynicy lub niezrównani idioci.

Zaraz po deserach ogłoszono, że możemy przejść do sali balowej. Tutaj zastosowałem wyuczone reguły: odsunąłem jej krzesło, czekałem, aż odłoży serwetkę na stół, i podałem jej ramię. W ten sposób, marząc, by to trwało jak najdłużej, zaprowadziłem ją do przyległego salonu.

Naturalnie wszyscy chcieliśmy tańczyć rocka, lecz jako że towarzyszyli nam rodzice, którzy pragnęli zobaczyć, jakie postępy poczyniły ich dzieci, mistrz ceremonii kazał puścić płytę z walcami i zaczęliśmy tańczyć, oddaleni od siebie i sztywno wyprostowani. Moja prawa dłoń zaledwie muskała jej talię, czułem jednak intensywne ciepło jej spowitego w muślin ciała. Skończyliśmy walca i zaczęliśmy paso doble, kiedy ku zaskoczeniu wszystkich zapowiedziano cuecę, nasz taniec narodowy. Marly podeszła do didżeja, coś mu szepnęła i zaraz potem salę wypełniły dźwięki piosenki Leonarda Favio. Mistrz ceremonii, kipiąc wściekłością, kazał wyłączyć tę wulgarną muzykę, wtedy jednak z grupy rodziców dobiegł potężny głos dziadka Marly:

- Płacę składki na ten ośrodek i moja wnuczka będzie tańczyła, co jej się żywnie podoba!

„Ding-dong, ding-dong, taki jest miłości los” - śpiewał Leonardo Favio, a pary całowały się, dotykały, tuliły do siebie.

Mistrz ceremonii, przepełniony rozpaczą, wolał odwrócić wzrok, kiedy dziewczęta wieszały się na szyi swych partnerów, a my, chłopcy, splataliśmy ręce, obejmując talie dziewcząt. „Ding-dong, ding-dong, taki jest miłości los...” Marly nuciła mi do ucha, a ja spływałem potem, gdy moje dłonie dotykały twardego miejsca nad jej pośladkami.

Tańcząc, powiedzieliśmy sobie, ile mamy lat; oboje uwielbialiśmy Beatlesów, Piera, Leo Dana i naturalnie Leonarda Favia. Skłamałem, zapewniając, że podobnie jak ona nie znośzę piłki nożnej. Nie wiem, czy była szczerą, zachwycając się zapachem mojej wody kolońskiej i filmami Flipa i Flapa. Powiedzieliśmy sobie wszystko, co było niezbędne, by umówić się nazajutrz w ogrodach Biblioteki Narodowej. Doszedłem do wniosku, że warto było uczestniczyć w trzydziestu upiornych sesjach przyspieszonego kursu dżentelmenów.

Kiedy wróciłem do swej zwykłej postaci, z pingwinim przyodziewkiem mocno zwiniętym w torbie, wyszedłem na ulicę uśmiechnięty od ucha do ucha, mając ochotę skakać, krzyczeć, śpiewać: „Ding-dong, ding-dong, taki jest miłości los!” Mieliliśmy się spotkać o piątej po południu, w godzinie fatum, jak powszechnie wiadomo. Marly nie nadchodziła. Policzylem palmy, lilie, kosze na śmieci, zielone metalowe ławki, ludzi wychodzących z biblioteki, wózki sprzedawców fistaszków, bębny sprzedawczyń rurek waflowych, wreszcie gołębie srające na pomnik don Benjamina Vicuñi Mackenny.

O ósmej nie zostało już nic do liczenia.

Ów łyk goryczy nappełnił me serce niepewnością i żalem.

Pierwszą moją myślą było: „No jasne, ta dziwaczka z Santiago College nie będzie się pakowała w «czerwonego» z Instituto Nacional. Niech spada w cholere!” Jednak potem wyobraziłem ją sobie płaczącą, zamkniętą w domu, strzeżoną przez okropną rodzinę i emerytowanego wojskowego, służącego u nich jako portier.

„Ding-dong, ding-dong, taki jest miłości los”. Nazajutrz uciekłem ze szkoły przed końcem lekcji; postanowiłem na nią poczekać przy wyjściu z Santiago College. Widziałem ukazujące się kolejno w drzwiach gimnazjum dziewczęta w rozmaitym wieku - szły do samochodu ojca lub szkolnego autobusu - lecz ani śladu Marly. Nie pojawiła się.

Może jest chora, tak, ding-dong, ding-dong, na pewno złapała grype, biedactwo, na pewno leży w łóżku z czerwonym noskiem i bólem gardła. Następnego dnia nie poszedłem do szkoły i udałem się do Santiago College, kiedy uczennice zaczęły się schodzić. Próżny trud. Marly nie było.

Powtarzałem tę scenę wystawiania u bramy gimnazjum

przez cały tydzień i wreszcie zdałem sobie sprawę, że uczennice i ci, którzy na nie czekali, zaczynają patrzeć na mnie podejrzliwie. Zatem, aby nie zostać usuniętym stamtąd siłą, postanowiłem dać pokaz odwagi i wszedłem do szkoły, by zapytać o nieobecną dziewczynę.

- A czemu chce pan się zobaczyć z tą panną Marly, której nazwiska pan nie zna? - dopytywała się kobieta wydzielająca woń władzy.

- Ta panienka zgubiła coś cennego i chcę jej to oddać. Poznaliśmy się na kursie dobrych manier w Ośrodku Katalońskim.

Kobieta przejrzała długą listę i stwierdziła, że nie figuruje na niej żadna uczennica o imieniu Marly.

Zapomniałem o niej. Nie, nie zapomniałem, jednak nie dopuściłem do tego, by zrujnowała mi życie. Zawsze gdy obserwowałem ojca słuchającego z rozmarzonymi oczyma programu, w którym nadawali tanga, mówiłem sobie w duchu, że miłość musi przecież oferować inne możliwości, nie samo cierpienie. Nie zapomniałem o niej; jej imię posłużyło mi do wymyślenia opowiadanka o romansie z dziwaczką z Santiago College, które przyjaciele uznali za prawdziwe.

Moje czternaście lat odpłynęło w przeszłość i życie przybrało kształt wspaniałej przygody, gdyż oto świat się odmienił - ludzie zaczęli się domagać przemian społecznych. Pamiętam, że ujrzałem ją ponownie pewnego zimowego poranka. Miałem osiemnaście lat i byłem pełnoetatowym przywódcą studentkim na barykadach naszego roku sześćdziesiątego ósmego. Próbowaliśmy przeforsować reformę, dzięki której nasze uczelnie stałyby się ośrodkami agitacji społecznej, otwarłyby swe podwoje dla robotników, stałyby się sercem wielkich przemian i rewolucji. Wszystko to oczywiście było nie w smak rządowi i policja robiła, co mogła, by konsekwencje prawne spadły na głowy studentów. Zimy w Santiago są straszne, a ta w sześćdziesiątym ósmym była jeszcze straszliwsza - do istniejącego skażenia dołączyły pociski i gazy łzawiące.

Wraz z grupą towarzyszy śpiewaliśmy co sił w płucach Międzynarodówkę, kiedy usłyszeliśmy głos kobiety - śpiewała inny tekst.

- Ding-dong, ding-dong, taki jest miłości los...

To była ona. Choć nie miała na sobie sukienki z białego muślinu, tylko dzinsy i anorak, a pół jej twarzy zakrywała chusta chroniąca przed gazem, natychmiast poznałem ją po oczach. Uściskała mnie, jakbyśmy się nie widzieli dosłownie kilka dni, a ja odwzajemniłem uścisk. Policja wystrzeliła salwę, rzucaliśmy kamieniami, potem puściliśmy się pędem, umy-

kając przed ciosami pałek, i oto ujrzelśmy się twarzą w twarz przy kawiarnianym stoliku.

- „Ding-dong, ding-dong, taki jest miłości los” - zanuciła, mieszając kawę w filiżance.

- Panienska z Santiago College. Przepraszam, towarzyszka z Santiago College - powiedziałem.

- Teraz jestem bojowniczką Młodzieżówki Komunistycznej - odrzekła.

- Nadal masz na imię Marly?

Zamiast odpowiedzieć, wstała z krzesła, pochyliła się i obdarzyła mnie długim pocałunkiem w usta.

Wyszliśmy z kawiarni przytuleni. Co dwa, trzy kroki zatrzymywaliśmy się i całowaliśmy chciwie. Nie broniła się przed moimi dłońmi, które wślizgnęły się pod jej kurtkę, oceniając twardość piersi, a następnie zsunęły się po biodrach, przypominając sobie jędrność jej pośladków. Rozmawialiśmy o naszej sprawie, o walce, o zebraniu, w którym mieliśmy wziąć udział po południu.

- Przyszedłeś wtedy na randkę? - spytała nagle.

Odpowiedziałem, że tak, pomiąłem jednak ów tydzień, który spędziłem, stercząc pod Santiago College, i rozczarowanie, jakiego doznałem, zorientowawszy się, że nigdy się tam nie uczyła.

Podczas zebrania, które odbywało się w Instytucie Pedagogicznym, usiedliśmy w ostatnim rzędzie. Tam, między pocałunkami, biliśmy brawo delegatom MIR, komunistom, socjalistom, wygwizdaliśmy przedstawicieli orientacji prochińskiej, wreszcie unieśliśmy ręce, głosując za kontynuacją strajku i walki ulicznej.

Tego wieczoru postanowiliśmy przenocować na Wydziale Sztuki. Podobnie jak wielu innych, nosiłem ze sobą śpiwór, gdyż my, przywódcy, mieliśmy obowiązek być obecni zawsze i wszędzie.

Ulokowaliśmy się w sali prób Szkoły Teatralnej. Czarne pomieszczenie z zapaloną świecą miało niezwykle romantyczny charakter. Wypiliśmy parę łyżków wina, pieściliśmy się, całowaliśmy, rozebrałem ją, ona zdjęła ze mnie ubranie. Byliśmy coraz śmielsi w pieszczotach - ding-dong, ding-dong, taki jest miłości los - chroniąc się w ciepłe śpiwora.

- Marly... Marly... i co dalej? - spytałem, gryząc ją w uszko.

Jej język splótł się z moim. To były czarodziejskie pocałunki, jak zapewniają słowa tanga.

- Co dalej? Chcę poznać twoje nazwisko - zacząłem nalegać, lecz w tym momencie weszło dwóch delegatów, którzy

mnie szukali.

- Bardzo nam przykro, ale są teraz ważniejsze problemy niż miłość - odezwał się jeden z nich.

- Nie wypij całego wina. I nie zaśnij - powiedziałem do Marly, ubierając się.

- „Ding-dong, ding-dong, taki jest miłości los” - odparła. Debatowano nad problemami w sali ćwiczeń rzeźbiarskich. Szliśmy tam, kiedy jeden z delegatów skomentował:

- Do schrupania ta towarzyszka. Rozkoszny kociak.

- Co studiuje? - chciał się dowiedzieć drugi delegat.

Nie miałem pojęcia, co im odrzec. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że jej nie spytałem, co robi ani gdzie mieszka. Zebranie trwało wiele godzin. Do strajku studentów przyłączyli się robotnicy z garbarni i zakładów obuwniczych, a pracownicy zakładów oczyszczania miasta mieli zorganizować dwudziestoczterogodzinny strajk w geście solidarności ze studentami. Wielki problem stanowili zwolennicy opcji prochińskiej z Wydziału Filozofii, którzy nadal zarzucali strajkowi burżuazyjny charakter.

Dyskutowaliśmy, postanowiliśmy okazać wdzięczność konserwatorium za dowody solidarności z naszą rewoltą i wzmocnić posterunki kuchenne, by nakarmić przyłączających się do nas robotników. Co do pro-Chińczyków wypracowano opcję kopa w zadek dowolną nogą.

Wróciłem do sali prób. Świeca wypaliła się do połowy.

W butelce została tylko połowa wina, ale śpiwór był pusty, a ubrania Marly nigdzie nie było widać.

Czekałem na nią, szukałem jej po całym wydziale, lecz nie znalazłem.

W następnych dniach jednym okiem obserwowałem policję, a drugim swoją stronę barykady; wypatrywałem Marly. Powtórzyłem setki razy pytanie: „Czy ktoś widział towarzyszkę, która była ze mną?” Odpowiedzi były wciąż takie same: „Nie, nigdy jej przedtem nie widziałem”, „Śliczna ta towarzyszka, nie, nie widziałem jej”.

Strajkujący odnieśli zwycięstwo. Przeprowadziliśmy reformę. Victor Jara skomponował hymn ze słowami: „Wszyscy reformatorzy to rewolucjoniści”. Młodzież była głównym bohaterem tych ciężkich dni, które doprowadziły do triumfu wyborczego Salvadora Allende, co było drugim krokiem naszej rewolucji, no i zapomniałem o Marly.

Nie. Nie zapomniałem. Stało przede mną wiele wyzwania, zbyt wiele; nie mogłem sobie pozwolić, aby niejasna i pozbawiona finału historia rozpraszała moje wysiłki. Jednak za każdym razem, gdy kładłem się w swoim śpiworze, czułem jej

zapach i słyszałem głos nucący: „Ding-dong, ding-dong, taki jest miłości los”.

Tysiąc dni rządu Salvadora Allende minęło bardzo szybko. Nastąpiła długa noc terroru i śmierci. Ostateczne, niechciane pożegnanie tak wielu towarzyszy z barykad, a także naszych marzeń.

Skończyłem dwadzieścia pięć lat w więzieniu na południu, bardzo daleko od Santiago. Nieczęsto ktoś mnie odwiedzał. Musiałem się zadowolić listami od rodziców i tych nielicznych przyjaciół, którzy przeżyli lub znaleźli się na wygnaniu; dlatego ucieszyłem się, gdy pewnego deszczowego poranka powiedziano mi, że mam widzenie.

Sala widzeń była barakiem; więźniowie i odwiedzający musieli siedzieć naprzeciwko siebie na drewnianych ławeczkach i zawsze towarzyszyło im dwóch żołnierzy, którzy kontrolowali ich rozmowy.

Marly nadal była przepiękną kobietą. Teraz nosiła krótkie włosy, a wiek dwudziestu pięciu lat ukształtował ostatecznie jej ciało.

- „Ding-dong, ding-dong, taki jest miłości los” - powitała mnie, wyciągając ręce.

- Nie dotykać się! - zaszczekał wojskowy.

Patrzyliśmy na siebie w ciszy. Zobaczyłem łzy w jej oczach, nie były to jednak łzy bólu. W ten sposób mówiła mi, że czas spłatał nam niezłego figla i że - choć nawet nie poznałem jej pełnego czy też może prawdziwego nazwiska - w księdze, która miała unikać stosu, zapisane były nasze imiona i historia naszej miłości.

Nie przejmując się szczekaniem żołnierzy, Marly wyciągnęła ręce i pogłaskała mnie po twarzy. Zdjęła wieszak spacerując bezwstydnie po mojej ogolonej głowie, i powiedziała:

- Kiedy wyjdiesz, będę na ciebie czekać. Nie wiem gdzie, ale będę czekać.

Dwa lata później opuściłem więzienie; mieszanina lęku i pożądania sprawiła, że zawahałem się przez moment, nim przekroczyłem próg wolności. A jeśli ona była śmiercią? Śmiercią zakochaną we mnie z wzajemnością? Nikt na mnie nie czekał, więc oscylując pomiędzy radością i smutkiem, ruszyłem w drogę. Życie toczy się w wielu miejscach: jedno zwie się ojczyzna, inne - wygnanie, jeszcze inne nazywa się „gdzież ja, u diabła, jestem”.

Zapomniałem o niej? Nie. Kochałem uczciwie kobiety, które mnie w ten sam sposób pokochały. Kilka razy miłość się wyczerpała i nie wiedziałem, jak przywrócić ją do życia, kiedy indziej wystygła i nie wiedziałem, jak rozpalić ponownie jej

plomień.

Minęły lata. Piosenki Leo Dana, Beatlesów, Piera i Leonarda Favia przekształciły się w echa, odzywające się w szczęśliwych zakątkach pamięci. Ścieżka samotności otworzyła się niczym zaproszenie do mnóstwa barów, gdzie wino jest za darmo, a kobiety są niczym proteza dla kulawej duszy.

Po dwudziestu pięciu latach od pierwszego spotkania z Marly zachowałem dobre maniery, które przyswoiłem sobie w Ośrodku Katalońskim, i może właśnie dlatego podczas podróży do Santiago poszukałem tamtej starej kamienicy, by ją dołączyć do inwentarza strat w intymnej ceremonii tęsknoty. W dawnej sali bankietowej znajdował się sklep ze sprzętem gospodarstwa domowego, a w sali balowej ciemny bar topless. Podszedłem do bufetu i poprosiłem kobietę o obwisłych piersiach, która ze wszystkich sił starała się wyglądać atrakcyjnie, o whisky z lodem.

- Postawisz mi jednego? - spytała inna kobieta o ogromnym biuście.

- Nie teraz. Może później. Proszę wybaczyć - odpowiedziałem ze staroświeckim szykiem.

Piłem wolno. Moje stopy, spoczywające na miękkim podłożu, przekazały mi informację, że nieskazitelny parkiet zastąpiono wykładziną dywanową. Moje oczy zaś, kiedy przywykły do półmroku, powiedziały mi, że portrety słynnych katalońskich muzyków zastąpiono fotografiami z „Playboya”.

Poczułem, że ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Odwróciłem się z zamiarem wygłoszenia formułki: „Nie, może później, przykro mi”, gdy usłyszałem niedający się pomylić z żadnym innym głos Marly.

- „Ding-dong, ding-dong, taki jest miłości los”.

Wyszliśmy na ulicę. Na zewnątrz światło dnia prawie mnie oślepiło i byłem w duchu wdzięczny, że tak się stało, gdyż mogłem ją powoli odkrywać. W miarę jak źrenice przyzwyczajały się do błysków słońca, oswajałem się z jej obecnością.

Lata minęły, także i dla niej. Dotykaliśmy nawzajem swoich zmarszczek, siwych włosów, ran. Trzymając się za ręce, ruszyliśmy przez miasto, które ten jeden raz należało do nas.

- Dalej lubisz Leo Dana? - spytała, kiedy kupowaliśmy pocztówki dla przyjaciół.

- I Leonarda Favia. „Ding-dong, ding-dong, taki jest miłości los”.

- A poeci? Ja lubię Benedettiego - powiedziała.

- Ja tak samo. I Gelmana. I Atxagę - dodałem.

- Ja tak samo! - wykrzyknęła, podchodząc do sprzedawcy

goździków.

Hotel oczekiwał nas niczym świątynia, pieczołowicie przygotowana specjalnie na nasze przybycie. Rozebraliśmy się ze spokojem, nie z powodu dumy z jurności mięśni i doskonałości ciał, tylko dlatego, że obydwójce pojęliśmy, iż ze wszystkimi swymi brzdami owe ciała są podstawą historii, która właśnie się zaczyna. Kochaliśmy się powoli, nie z powodu dobrych manier nabytych w Ośrodku Katalońskim, tylko dlatego, że w rozkoszy szukaliśmy drogi do najwspanialszego ze znużeń. A potem rozmawialiśmy, zapominając o dniu wczorajszym i jutrzejszym, słowa są bowiem jak wino - potrzebują czasu i wypoczynku, by aksamit głosu oddał ich ostateczny smak. A teraz, na brzegu morza, patrzę na nią, wiem o niej wszystko i wszystko to zapominam dla rozkoszy poznawania jej na nowo, prawda za prawdą, zwątpienie za zwątpieniem, pewność za pewnością, lęk za lękiem, gdyż, u diabła, ding-dong, ding-dong, taki jest miłości los.

Wyspa

„Ona chciała zostać, zobaczywszy mój smutek,
lecz zapisane już było, że tej nocy
stracę jej miłość...”

„Kelnerze, podaj mi, proszę, w pękniętym kieliszku...
pragnę sączyć kropla po kropli
truciznę jej miłości”.

„Dziś staniesz się częścią przeszłości,
przeszłości mego życia...”

Encyklopedia Powszechna

Uczuciowych Porażek Latynosów

Żegnaj, kochanie" - powiedziałem i zamknąłem cichutko

drzwi, być może dlatego, że instynkt zranionego macho

szukał sposobów, by nie wbijać gwoździa do trumny miłości,

by uczynić lżejszą płytę na jej grobie. Zmęczonym krokiem

zszedłem po raz ostatni marmurowymi schodami, ujrzałem

swoje odbicie w lustrach na półpiętrach i oto już wiedziałem, że
nigdy nie wrócę.

W Hamburgu było zimno. Styczniowy śnieg padał powoli, je-

go olbrzymie płatki, absurdalnie subtelne, lewitowały, zanim

pokryły samochody, nagie lipy i moje ramiona bolesną skorupą.

Niełatwo jest maszerować w śnieżycy: wąsy pokrywa war-

stwa lodu, wargi bołą, oczy cierpią, łzawiąc mimo woli, kroki

zaś pełne są lęku, przez co chód nabiera tchórzliwego, ostroż-

negu rytmu.

Przeszedłem jakieś trzysta metrów, nie napotkawszy żad-

nej spieszącej do domu, strwożonej nocą kobiety, żadnego

przeżalonego śniegiem Murzyna wyprowadzającego na spacer cudze psy, żadnego policjanta znudzonego paskudnym dyżurem, aż na esplanadzie Dammtor świetlny zegar stacyjny zaprosił mnie do wnętrza, gdzie mógłbym odzyskać odrobinę ciepła. Brakowało jeszcze dwóch godzin do pierwszego kursu pociągu podmiejskiego i zaśnieżone perony przywiodły mi na myśl doktora Żywago tracącego po raz pierwszy Larę. Pijaczek przyodziały w całą kolekcję łachmanów zajmował ławkę z oparciem. Dostrzegł mnie i zaczął przyzywać gestami. Nosowym głosem poprosił o papierosa, zapaliłem więc dwa i podałem mu jednego. Na znak wdzięczności wycharczał, że pociąg towarowy do Lubeki ma opóźnienie.

- A wszystko przez te cztery płatki śniegu na krzyż - dodał.

- Albo dlatego, że maszynista jest właśnie w łóżku z piękną kobietą i towary głównie go obchodzą - zasugerowałem, ot tak, żeby coś powiedzieć.

- Ty to masz przejebane, co nie, kolego? - odezwał się, patrząc mi w oczy.

Przejebane? Nie minęła nawet godzina, odkąd poczułem, że mam przejebane, wymruczawszy uprzednio całą listę konceptów, takich jak „szlachetność”, „kosmos nierozzerwalnych więzów”, „pułapki” i inne argumenty rodem z tanga, które gdy tylko wyszły z moich ust, natychmiast zdały mi się blade i nieprzekonujące. Rozważania samca z nożem na gardle.

Usiadłem obok pijaczka. Cuchnął alkoholem, jego ciało emanowało jakieś zaraźliwe gorąco. Trwałem w milczeniu, gdy zaintonował tonadillę Hansa Albersa, hamburskiego Carlitosa Gardela. Piosenka opowiadała o tym, jak wspaniale jest maszerować Reeperbahn, ulicą kurew, o wpół do pierwszej w nocy. Był to opis rajy, o wiele ciekawszy od tego, jaki oferują Koran i Biblia razem wzięte.

Pociąg zapowiedział swe przybycie trzema przeciągłymi gwizdami i przemknął szybko przed naszymi oczyma.

- Stary pociąg towarowy do Lubeki. Wychodzi na to, że maszynista nie był w ramionach żadnej dziwki - skomentował pijaczek.

Chciałem się zaśmiać, czasami jednak rozkazy mózgu mylą się, krzyżują ze sobą, wybuchają w krótkich spięciach i coś zawodzi w owej alchemii życia. Wstrząsnął mną spazm, a potem popłynęły łzy.

Pijaczek odniósł się z szacunkiem do mojego smutku, a kiedy uznał, że dość już tego mazgajstwa, podał mi swoją butelkę wódki Korn.

- Ty to masz przejebane, kolego - rzekł w zamyśleniu.

Wytarłem rękawiczką jego ślinę z szyjki i pociągnąłem dłu-

gi łyk. Zbożowa wódka przeleciała przez gardło niczym kula ognia i ciało poczuło wdzięczność za to nieoczekiwane ciepło.

- Pół godziny temu powiedziałem „żegnaj” kobiecie, którą kocham - wyszeptalem, oddając mu butelkę.
- O kurwa! I co zamierzasz zrobić?
- Cierpieć jak ten koń pociągowy. Cóż mogę innego zrobić? A najgorsze ze wszystkiego jest to, że cierpię w obcym języku.
- O kurwa nad kurwami! A w jakim języku normalnie cierpisz? - zapytał, podając mi ponownie butelkę.
- Po hiszpańsku - odpowiedziałem, zanim pociągnąłem kolejny długi łyk.
- El perro de San Roque no tiene rabo!* - wykrzyknął w moim języku i zaniósł się nieprzyzwoitym pijackim śmiechem.

Wahałem się, czy przykopać mu z glana, czy też ofiarować parę petów. Ostatecznie wybrałem to drugie i oddaliłem się ku stojącym rzędkiem kabinom telefonicznym. Wiedziałem, że w domu, w moim domu, w porzuconym domu, pewna kobieta, moja kobieta, śpi, nieświadoma swego zwycięstwa, bo to ona odniosła zwycięstwo w walce, z której miłość wycofała się z podkulonym ogonem.

- Mam problem. Nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Muszę pobyć parę dni sam...
- Co się z tobą dzieje? Miałeś wypadek? Powiedz. Twój głos brzmi bardzo dziwnie.
- Muszę pobyć sam. Kilka dni. Nie martw się...

Odwiesiłem słuchawkę. Dokładnie w tym momencie zapaliły się światła w kasach biletowych, a w kiosku z prasą podniesiono metalowe żaluzje. „Po porażce najlepiej zacząć wszystko od nowa” - napisał Roberto Arlt i postanowiłem pójść za jego radą.

* „Pies świętego Rocha nie ma ogona”.

Poprosiłem o bilet do Westerlandu.

Kasjerka spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- Do Westerlandu na wyspie Sylt? - upewniła się na wszelki wypadek.
- Dokładnie, tam właśnie chcę pojechać - odrzekłem, podając jej kilka banknotów.
- Musi pan się przesiąść w Niebull - dodała, wciąż zdumiona. - Mało kto jedzie na wyspę w środku zimy.

W wagonie było nas dwoje: kobieta, która ledwie zajęła miejsce, zaczęła dziergać sweter, i ja, który z głową opartą o okno zacząłem dziergać wspomnienia.

Po pięciu minutach podróży rozległ się w megafonach bez-

osobowy głos: „Następna stacja: Hamburg-Altona. Pięć minut postoju”. Altona. To tu pewnego czerwcowego popołudnia wszystko się zaczęło.

Franz Josef Strauss, bawarski polityk, przyjaciel wszystkich latynoskich dyktatorów, dopuścił się grzechu: oto złożył wizytę w Hamburgu, napotkał jednak protesty tysięcy niemieckich dziewcząt i chłopców, do których dołączyli uchodźcy z Ameryki Łacińskiej. Bitwa z policją była długa i zakończyła się, jak zwykle, zwycięstwem mundurowych. O szóstej po południu rozeszła się wiadomość, że zepchnęli na tory metra jakiegoś chłopaka, no i potem można go było łyżką zbierać. W ustach manifestantów z cholernych policjantów przemienili się w nazistowskie świnie. W jakiejś bójce w pobliżu stacji Altona dostałem pałką w łeb, aż mnie zamroczyło. Nie upadłem tylko dzięki temu, że ktoś mnie podtrzymał i wyprowadził z pola bitwy.

Tak poznałem Kurta, starego Kurta. Kiedy już usiedliśmy w kawiarni i mógł przyłożyć do mojego guza woreczek z lodem, zamówił dwa razy po pół kwarty piwa, tego z północy, najbardziej wytrawnego, niezrównanego piwa Jever, oraz dwie obowiązkowe szklaneczki korna.

- Wygląda to tak: ty masz precudne jajo na głowie, a ja nazywam się Kurt - przedstawił się. - Jestem dobrym samarytaninem, ale pomagam tylko czerwonym. Prosit! - Wzniósł szklanę.

Mówił hamburskim dialektem platt, wzbogacając go nieco gwarą portową. Nie wyglądał jednak jak doker, jego dłonie były wypielęgowane, a broda wilka morskiego starannie przystrzyżona. Miał szyk. Wiele miesięcy później widziałem go w klasycznym błękitnym wełnianym pulowerze trolley, granatowym marynarskim żakiecie i błękitnej hamburger Mutze, proletariackiej czapce, czy wreszcie w smokingu z jedwabnymi wyłogami - zawsze tak samo szykownego.

Przy piątej kolejce zaczęliśmy być przyjaciółmi, przekleliśmy głośno wszystkich, którzy na to zasługiwali, i pobłogosławiliśmy wszystkich, którzy byli po naszej stronie. Przy dziesiątej dosiedli się do naszego stolika dwaj Argentyńczycy, uciekinierzy spod dyktatury Videli, skapani od stóp do głów przez policyjne armatki wodne. Ni z tego, ni z owego stary Kurt zapytał, czy ktoś aby nie jest głodny, a usłyszawszy zbiorowe potwierdzenie, odpowiedział, że nas zaprasza na „byle co” do siebie do domu.

Czerwcową noc była ciepła i bezchmurna. Wsiedliśmy do taksówki i otworzyliśmy okna. Oddalaliśmy się od proletariackiego Hamburga, kierując się ku bogatym dzielnicom:

Othmarschen, Blankenese, Wedel. Tam stary Kurt poprosił kierowcę, by zawrócił ku Łabie.

- Znacie sędziwego wilka morskiego? - zapytał.

Nikt go nie znał, pozwoliliśmy zatem się zawieźć do czegoś w rodzaju obserwatorium - oświetlonej wieży, nad którą wystawały dwa potężne głośniki.

- Zaczekajmy chwileczkę. Zapalmy i zaczekajmy - zaproponował stary Kurt.

Dziesięć lub piętnaście minut później ujrzeliśmy statek płynący rzeką w kierunku Cuxhaven, ku ujściu i otwartemu morzu. Kiedy sunął tak przed nami, zobaczyłem na jego maszcie chilijską banderę, nie zdążyłem jednak tego skomentować, gdyż dokładnie w tym momencie głos zapowiedzianego wcześniej sędziwego wilka morskiego wypełnił całą przestrzeń.

- Ahoj! Załogo Lebu, statku handlowego z portem macierzystym w Valparaiso, podczas rejsu powrotnego z postojami w Rotterdamie, Santos, Colon, Guayaquil i Callao! Dobrej podróży do ojczyzny! Pomyślnych wiatrów i łaskawego morza, ahoj, ahoj, ahoj!

Załoga Lebu odpowiedziała trzema sygnałami megafonu i zaraz statek zagubił się gdzieś za nocnym horyzontem.

- To stary kapitan, który pozdrawia przyplływające i odpływające statki. Nikt mu za to nie płaci. Gdy przeszedł na emeryturę, kupił za oszczędności działkę, wybudował wieżę i w ten sposób nadal wiezie życie marynarza. Do wszystkich diabłów, złożmy mu hołd! - zaproponował stary Kurt.

Tak też uczyniliśmy.

Nieco później, nadal pełni emocji po spotkaniu z sędziwym wilkiem morskim, dotarliśmy do domu, z którego widać było rzekę. Zaledwie weszliśmy do środka, stary Kurt czym prędzej wskazał nam dobrze zaopatrzone barek oraz skrzynkę hawańskich cygar i zawołał kogoś o kobiecym imieniu.

W Meksyku dowiedziałem się, że przed trzęsieniem ziemi psy szczekają bez powodu, koguty pieją, nie zważając na porę, a odlane w brązie dzwony wydają jaszczurczy syk.

Wszystko to poczułem, gdy ujrzałem po raz pierwszy Silke.

- Oto moja żona, oto paru zgłodniałych przyjaciół - dokonał prezentacji stary Kurt.

Psy zawyły, gdy ująłem jej dłoń, koguty zapiąły, gdy zbliżyła ku mnie twarz, zasyczały wszystkie brązy i wszystkie jaszczurki, kiedy jej wargi musnęły przelotnie moją twarz w powitalnym pocałunku.

Nigdy dotąd nie widziałem tak pięknej kobiety. W zenicie

czterdziestu lat jej ciało zachowało zdumiewającą doskonałość, długie jasne włosy o odcieniu plastra miodu i intensywny błękit oczu przypominały o żegludze po oceanach, poprzez burze i pomyślne wiatry. Jej olśniewająca uroda wymykała się stereotypowi, skądinąd słusznemu, piękności Niemek z północy. To było coś więcej: owa kobieta była klasykiem.

Usiedliśmy do kolacji na tarasie zawieszonym nad Łabą. Stół oświetlały świece, których płomyki odbijały się w wodzie. Obiecane przez starego Kurta „byle co” okazało się wspaniałą tacą wędlin i serów, w ostatnią podróż z piwnicy na stół udały się liczne butelki wina, potem zaś, kiedy stary Kurt opowiadał Argentyńczykom różne historie o Łabie, Silke zaskoczyła mnie zadaniem po hiszpańsku pytaniem, czy znam jakiś wiersz Nerudy.

- „Mogę pisać wiersze najsmutniejsze tej nocy...” - zacząłem.

W Amazonii dowiedziałem się że nadchodzący huragan można przeczuć skórą i kośćmi.

- „Pisać, na przykład: «noc jest gwiazd pełna, i drgają błękitne gwiazdy w oddali»...”

Huragan wstąpił z całą furją pod moją skórę i między kości. Wydawać się mogło, że jej oczy, utkwione w moich, po raz drugi czytają wiersze Nerudy. Czytają na sposób kobiety: nie słuchając tego, co mówię, tylko czując.

- „Nocny wiatr krąży w niebiosach i śpiewa...”*

Z moich ust wychodził Wiersz 20, lecz w mózgu kołatały się wersy Majakowskiego: „Zatrzymaj się, jak koń, który przeczuwa przepaść kopytami, bądź rozważny, zatrzymaj się”. Jednak ja nie chciałem być ani koniem, ani mędrce, a przepaść była nieodpartym błękitnym zaproszeniem.

Jedyna pasażerka wagonu, z nieobecnym wyrazem twarzy, robiła na drutach. Być może nie знаła rozmiaru przyszłego właściciela swetra albo było jej to obojętne, gdyż dziergała i dziergała, jakby jej praca była najpotrzebniejsza na świecie.

* Wiersz 20 ze zbioru Dwadzieścia wierszy o miłości i jedna pieśń rozpaczy, w przekładzie Jana Zycha.

Ja robiłem to samo. Splatanie i rozplatanie wspomnień było najpilniejszą koniecznością.

W Niebull gęsta mgła przydała zaśnieżonemu krajobrazowi widmowego charakteru. Pomyślałem o Hamlecie, samotnym pośród duchów, i ruszyłem na peron, gdzie pociąg do Sylt czekał na nielicznych podróżnych. Bardzo blisko było Morze Wattowe Klause Störtebekera, pirata znad Łaby, którego autentyczne męstwo stało się wzorem dla fikcyjnej szlachetności

Robin Hooda; była tam również owa tak poszukiwana północ, której mgła nie pozwala zobaczyć.

Zanim wsiadłem do wagonu, poszedłem do kiosku i kupiłem skrzyneczkę wódki. Pierwszy łyk pociągnąłem, gdy już usiadłem w przedziale. Byłem jedynym pasażerem w wagonie i cieszyła mnie samotność, gdyż mógłbym mówić głośno, jeśli przyszłaby mi na to ochota.

Miałem jakieś dziesięć lat, kiedy tysiące kilometrów od Niebull, w Patagonii, zobaczyłem mężczyznę, który mówił do siebie, i zapytałem ojca, czy ten facet zwariował.

„Możliwe, ale najprawdopodobniej rozmawia z niewidocznym przyjacielem” - usłyszałem w odpowiedzi.

Zacząłem mówić do siebie. Najpierw powiedziałem, że ze wszystkich rejonów świata ten lubię szczególnie, gdyż samotność fryzyjskich wybrzeży przybliżyła mnie do kraju, do którego nie mogę wrócić, i łagodzi nieco nostalgię, której wypieram się wściekle za każdym razem, gdy ktoś mnie pyta, czy tęsknię za ojczyzną. Potem powiedziałem, że podobają mi się imiona mieszkańców tej ziemi, krótkie i dźwięczne. Mężczyźni nosili imiona Dirk, Jan, Jörg, Hark, a kobiety Anke, Elke, Silke. Dźwięczność ich imion harmonizowała z platt, owym dialektem, w którym brzmiał rytm fal rozbijających się o przybrzeżne skały.

Silke zawsze starała się mówić do mnie po hiszpańsku albo w Hochdeutsch, ujednoliconym niemieckim, który pozwala Bawarczykowi porozumieć się z Prusakim, ja jednak nalegałem, by używała swojego dialektu. Mówiła wargami, wzmacniała ekspresję oczyma, wzbogacała przymiotniki, unosząc rękę ku blond czuprynie. Najpiękniejsze słowa nie mogły konkurować ze świeżą bielą jej zębów.

Gdy upłynął miesiąc od naszego pierwszego spotkania, otrzymałem od Kurta i Silke zaproszenie na spacer brzegiem Łaby. Mieliśmy urządzić sobie piknik: doskonała westfalska szynka, wino reńskie i chleb z pięciu ziaren wypieczony przez nadrzecznych piekarzy. Przyłączyło się do nas wielu przyjaciół, a o zachodzie słońca Silke zaproponowała mi, byśmy oddalili się od grupy i poobserwowali kolonię kormoranów. Kiedy szliśmy usianą otoczkami plażą, w pewnej chwili zobaczyłem, że Silke traci równowagę, i wziąłem ją za rękę. W ten sposób kontynuowaliśmy przechadzkę. Kormorany rozkładały skrzydła, zwrócone ku zachodzącemu słońcu, a ja czułem kruchość jej palców.

- Dłonie to jedyna część ciała, która nie kłamie. Ciepło, pot, drzenie i moc. Oto język dłoni - powiedziała, nie odrywając wzroku od ptaków.

Rozprostowałem jej palce i splotłem je z moimi. Poczulem ich ciepło, ich pot, ich drzenie i moc.

- Teraz powiedz to w platt - poprosiłem.

Zrobiła to, podczas gdy jej palce szukały najlepszej pozycji między moimi.

Platt. Nigdy nie nauczyłem się płynnie mówić w tym dialekcie, lecz uwielbiałem słuchać, jak stary Kurt rozmawia z poławiaczami krewetek i marynarzami z List. Wypytywał ich o statki, o nieprzewidywalne humory morza, o czające się w lodowatych wodach Grenlandii niebezpieczeństwa, które żeglarze oddalali wybuchami tubalnego śmiechu i porządnymi haustami piwa.

Stary Kurt uwielbiał wszystko, co było związane z morzem. Zawsze pragnął zostać marynarzem, nie marynarki wojennej, tylko tej, którą reprezentowali nostalgiczni kapitanowie popijający piwo w Hamburgu, w kantynach sąsiadujących z domami marynarzy w Landungsbrücken. Tam palono wszystkie tytonie świata. Z ostrym aromatem dobrego cavendisha mieszał się zapach rumu, piwa i ziemniaków w mundurkach oferowanych za darmo stałym klientom. Starzy kapitanowie waliłi w białe stoły, by wzmocnić swoje „niech diabli złapią za dupę tych skurwysynów, co dla zysku wpakowali statki pod różne bandery!”. Wówczas stary Kurt również walił w stół, krzyczał: noch'ne!, tymi słowami stawiając marynarzom następną kolejkę, wiedział bowiem, że są gotowi opowiadać swoje przygody na wszystkich morzach świata, i do zapachu tytoniu, rumu, piwa i ziemniaków dołączały aromaty burz morskich, tonących statków, nocnych wacht w samotności mostka kapitańskiego, kiedy płynęli przez Atlantyk albo okrążali budzący trwogę przylądek Horn, aż wreszcie któryś ze starych żeglarzy wybuchał śmiechem, a potem oznajmiał: „To wszystko jest w porządku, bardzo ciekawe, ale ja na Malwinach wyprowadziłem do ogrodu pewną kelperkę, szacowną małżonkę pana kelpera. Mogę przysiąc, że robiła wspaniałe ciasto z dyni”.

- Podobny tym marynarzom pragnął być - powiedziała mi Silke u progu jesieni, kiedy spacerowaliśmy brzegiem Alsteru, trzymając się za ręce.

Widując się sam na sam, nigdy nie posuwaliśmy się dalej.

Łączyliśmy palce z rozpacziwą siłą lub obejmowałem ramieniem jej plecy i patrzyliśmy na płynące w ciszy łabędzie, pograżając się w innej ciszy, gęstej jak woda w stawie, aby nie powiedzieć tego, co pragnęliśmy, ponieważ te słowa poprowadziłyby nas ku labiryntowi, z którego nie moglibyśmy ani nie chcielibyśmy się wydostać.

Każde z nas walczyło z własnym „teraz”. Wiedzieliśmy, że ofiarujemy sobie nawzajem to, o czym zawsze śniliśmy, myląc własne sny z obcymi, gorączkowymi lub rozdzierającymi. Przyjąć je za nasze oznaczało wyrzec się najlepszego, czym mogło nas obdarzyć życie, i opieczętować przyszłość stygmatem zdrady. Silke miała czterdzieści lat, ja trzydzieści osiem, wielki ogień płonął w naszych ciałach, jednak wystarczał zaledwie do ogrzania stalowych ścian ciszy, w której mimo to czuliśmy się szczęśliwi i bezpieczni od siebie samych. Podobny tym marynarzom pragnął być stary Kurt, lecz oto życie położyło się przed nim w progu i musiał się zadowolić lekturą Conrada, Melville'a, Stevensona oraz płomienną miłością do Maqrolla el Gaviero, postaci z książek Alvara Mutisa. W rozmowach z innymi żeglarzami, których gościł w domu zawsze otwartym dla ludzi morza, nazywał Maqrolla swoim przyjacielem. Ja także słyszałem echo jego głosu, lecz mój słuch wychwytywał uważnie jedynie słowa Silke. Zazwyczaj mówiła, patrząc mi uważnie w oczy, a ja drżałem, przeczuwając, iż niechybnie zatone w głębokim błękitnym morzu jej tęczówek. Pociąg ruszył, gubiąc się gdzieś we mgle. Przypomniałem sobie, że stary Kurt zamierzał wyruszyć na morze w wieku dwudziestu pięciu lat, na parowcu zakontraktowanym przez jego rodzinę do przewozu drewna i nawozów z Chile, lecz wybuchła wojna i został powołany do wojska.

Stary Kurt wywodził się z arystokratycznego rodu, znał doskonale łacinę i grekę, a jeśli dodać do tego słynną hanzeatyczną dumę, oczywista zdawała się pogarda, jaką żywił wobec nazistów. Uważał ich za bandę pospolitych kryminalistów i gamoni, za nic w świecie nie zgodziłby się im służyć. Przy pierwszej okazji zdezerterował i przyłączył się do ruchu oporu, najpierw w Hamburgu, a potem na wygnaniu w Norwegii. Zważywszy na przeszłość, jaką dźwigał na barkach, nie było nic dziwnego w jego sympatii wobec przegranych z Południowego Stożka Ameryki, którzy próbowali budować w Niemczech zręby kruchej architektury życia.

Silke nie miała arystokratycznego pochodzenia i nie było jej ono do niczego potrzebne. Jej rodzice byli „czerwoni”, z tych najbardziej znenawidzonych przez brunatną bestię: spartakiści, ludzie zaprawieni w konspiracji, którzy walczyli do końca życia, nie kapitulując i nie sprzeniewierzając się swoim prawdom i własnemu rozumieniu sprawiedliwości społecznej. Ojciec, renowator antyków, dokonał żywota w obozie koncentracyjnym Neuengamme. Zaledwie pół roku przed kapitulacją Niemiec wypluł płuca na skutek bicia, zimna i niewolniczej pracy dla pokonanych zwycięzców. Matka zdo-

łała przeżyć, ukryta pośród potworów, i opiekowała się Silke i jej siostrą Anke, która dzieliła z nią pełną wdzięku inteligencję i tę samą zdumiewającą urodę.

Morze smagało pociąg z obu stron. Podążając wąską linią Hindenburgdamm, betonową platformą podtrzymującą nasyp kolejowy, która prawie przez godzinę czyniła z pociągu transatlantyk na łasce fal, przypomniałem sobie, że stary Kurt napomknął o tym fenomenie architektury, opowiadając mi, jak poznał Silke.

- Bronilem swego stanu kawalerskiego niczym przestrzeni naturalnej... podobnie jak Sylt, która będzie wyspą tak długo, póki morze nie wyrwie jej ostatniego fragmentu ziemi... lecz oto pewnego ranka w porcie, gdy przyglądałem się, jak dokerzy wyładują banany ze statku, który przyplłynął z Kostaryki, ujrzałem ją idącą prosto ku mnie. Dzieliło nas jakieś dwadzieścia metrów, ona zaś zmniejszała ów dystans krok po kroku. I nie była to wizja po pierwszym porannym kieliszku. Chciałem rzucić się do ucieczki, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Kiedy zatrzymała się przede mną z prośbą, bym jej rozmienił pieniądze, gdyż potrzebowała bilonu, by móc patrzeć na morze przez lunety, popędziłem... wierz mi... popędziłem niczym sportsmen do sklepu z morskimi pamiątkami i kupiłem największy teleskop, jaki mieli. Wróciłem na drogę i wręczyłem go tej nieznajomej kobiecie. Nie mogła pojąć, o co mi chodzi, tym bardziej kiedy powiedziałem: „Proszę, wszystko, na co pani spojrzy, cokolwiek by to było, również jest pani własnością”. Nigdy więcej nie widziałem u niej tego wyrazu rozbawionego zażenowania. Skorzastałem z niego, żeby się przedstawić, wyjawic jej swój wiek, owe sześćdziesiąt pięć lat, i niewyciężony stan kawalerski. Przyjęła zaproszenie na drinka, i co ci będę dłużej gadał, podobnie jak pontonowy most przekształcił wyspę Sylt w półwysp, jej spojrzenie wprowadziło mnie w świat mężczyzn żyjących w związku. I niech będę przeklęty, jeśli cokolwiek zmyśliłem w tej historii.

Od tamtego spotkania, kiedy ją poznałem między linijkami Wiersza 20, upłynęły trzy lata. Byli szczęśliwą parą, ja także żyłem w szczęśliwym związku. Może łączyła nas nieświadomość podstawowego prawa mechaniki: prawa przypadku. Ileż racji miał Borges, mówiąc, że „to, co nazywamy przypadkiem, jest naszą nieznajomością złożonego mechanizmu przyczynowości”*. W połowie Hindenburgdamm północny wiatr zaczął gwałtownie smagać pociąg. Fale omywały szyby, a silne podmuchy wiatru przywracały im przejrzystość, dzięki której mogłem nawiązać kontakt z surową szarością morza i nieba. Trudno było

zobaczyć linię horyzontu, a może rzeczą bardziej godną było jej nie widzieć, jak nam powiedział stary Kurt po pewnej niezapomnianej kolacji.

Stary Kurt zebrał pięciu najbliższych przyjaciół, do których i mnie zaliczał, by zjeść z nami kolację w Vier Jahreszeiten, Czterech Porach Roku, owianej legendą restauracji, która witała gości muzyką Vivaldiego, wymagając w zamian przybycia w nienagannym stroju wieczorowym. Uczta była wyśmienita, piliśmy najlepsze wina, najlepszy hiszpański koniak, paliliśmy wspaniałe cygara z Vuelta Abajo, a kiedy kelner przyniósł rachunek w dyskretnym skórzanym portfeliku, Kurt z podobną dyskrecją oderwał od pasa złoty guzik i szepnął: „Jak zwykle, reszta dla pana i pańskich kolegów”. To była jego wielka ceremonia: zaprosić przyjaciół i zapłacić złotym guzikiem. W ten sposób składał hołd życiu i przyjaźni. Obecni przy stoliku znali ów zwyczaj i uczcili go żartami, do których się dołączyłem. Stary Kurt także się śmiał, a kiedy śmiechy ucichły, uniósł kieliszek i nie spuszczać wzroku z cudownego koniaku o bursztynowej barwie, przemówił:

* Z wykładu Boska Komedja, zamieszczonego w zbiorze Siedem wieczorów, w przekładzie Andrzeja Sobola-Jurczykowskiego.

- Wczoraj rozmawiałem z moim lekarzem. Koledzy, mam raka w końcowym stadium, wiszę na cieniutkiej nici i uważam, że godniejszą rzeczą jest nie myśleć, w którym miejscu zostanie ona przecięta. Nic nie można zrobić, trzeba pić i się weselić. Prosit! I dziękuję wam, że tu jesteście.

Byłem jedynym pasażerem, który wysiadł z pociągu na stacji Westerland. Ogłoszenia dla turystów sezonu letniego, zdjęcia wydm, owych rajów nudystów, zwinięte markizy w zamkniętych kawiarniach i lodziarniach, a także rowery w wypożyczalni, pogrążone w długim zimowym śnie, sprawiały, że ulice wyglądały jak scenografia do filmu, który właśnie miał kręcić Bergman. W pobliżu stacji znalazłem agencję wynajmu samochodów, zapytałem o jeden z nich i po półgodzinie oczekiwania otrzymałem z rąk zaspanego mężczyzny kluczyki do volkswagena.

Kiedy zjechałem na szosę prowadzącą z Westerlandu do Keitum, przypomniałem sobie, ile razy przemierzałem ją u boku Silke w rozświetlonych dniach malujących złotem kopuły kościołów i przytulne domki o słomianych dachach. W niektórych się zatrzymywaliśmy, by rozkoszować się cudowną serdecznością ich mieszkańców, pić herbatę w filiżankach z cennej porcelany, napędzających dumą swoich właścicieli, ludzi, którzy wiedzieli, jak ciężkie jest życie, i dlatego korzystali z tego, co posiadali, z godną zazdrości pasją. Ileż razy zostawialiśmy samochód na poboczu drogi, by ze złączony-

mi dłońmi wkraczać na ścieżynki wytyczone pośród wydmy, patrzeć na morze i chronić się w zbawczej ciszy, która mimo swej siły nie była w stanie ukryć powściągliwej miłości, rządzącej każdym oddechem.

Teraz słomiane dachy okrywał śnieg, a wydmy zaledwie się rysowały pod białym płaszczem.

- Przeszli tędy Rzymianie, wikingowie, Normanowie, ale tu nie osiedli. Pozostali tu jedynie ludzie rodem z wyspy, trzymający się jej kurczowo, świadomi, że morze, niczym bezlitosne przekleństwo, wyrывa im ją pazurami. Każda rodzina ma swoich bliskich: małżonków, synów, wnuków, przodków zwyciężonych przez morze, dlatego miejscowi z taką czułością przyjmują ciała, które niekiedy przynosi przypyływ - tłumaczyła mi Silke, rysując dłonią kontury wyspy, trzy miesiące przed ową kolacją, podczas której stary Kurt zapowiedział swój zbliżający się koniec. Nie wiedział, że jego słowa staną się powodem tej podróży wśród wichru i śniegu.

Stary Kurt ze stoickim spokojem znosił szalejącą w swym ciele burzę wywołaną przez raka trzustki. Bez skargi zaciskał zęby, a kiedy środki przeciwbólowe już nie przynosiły ulgi, położył się w klinice, by umrzeć spokojnie i bez teatralnych gestów. Odwiedziłem go tam dwa dni przed finiszem.

- Porozmawiajmy szczerze - odezwał się resztką głosu. -

Wiem, że Silke czuje do ciebie coś głębokiego, a ty do niej, wycofałeś się jednak, by nie zdradzić mojej przyjaźni. Nie dziękuję ci za to, bo jedynie głupcy dziękują za przyzwoitość. Proszę cię, kolego, tylko o jedno: dopilnuj, by została wypełniona moja ostatnia wola. Żądam zaś drugiego: uczyni Silke szczęśliwą. Potem nastąpiła cisza - ta ostateczna dla starego Kurta i ta pełna godności, malująca się w przysłoniętych ciemnymi okularami oczach Silke. Przez wiele tygodni widywałem ją zaledwie, by zapytać, jak się czuje i czy czegoś jej nie potrzeba. Dni stawały się coraz krótsze, zimowa ciemność zdobywała pole, jednak człowiek nie godzi się tak łatwo z utratą światła. Znów spacerowaliśmy w ciszy nad Łabą, aż zimno złączyło ponownie nasze skostniałe palce, a dłonie powtórzyły swój bezbłędny język ciepła, potu, drżenia i mocy, by nam powiedzieć, że dwa strumienie krwi szukały wspólnego koryta.

I je znalazły, w owych dniach i nocach płonących własnym światłem, w tej miłości rozbitków, która zawiodła nas ku zaprzeczeniu czasu, ze światem gdzieś daleko za oknami, rozkoszą niczym busola i stanowiącym nagrodę zmęczeniu - aż wreszcie moje rozpaczliwe wyznanie miłości, jej niechęć do zajęcia pospolitego miejsca kochanki i szlachetna rezygnacja z domagania się ode mnie wypełnienia jakichkolwiek zobo-

wiązań splotły nić lojalności, która podcięła mi żyły.
Zatrzymałem samochód przed kościołem Sankt Severin.
Wysmukłą wieżę pokrył śnieg, a wokół nie było żywego du-
cha. Nic nie wskazywało, że w letnie niedziele świątynia wy-
pełniała się ludźmi, którzy przychodzili słuchać koncertów
organowych. Okrążywszy kościółek, wszedłem na niewielki
cmentarz i wolno podążyłem na jego skraj, nad samym brze-
giem morza.

Stary Kurt zawsze chciał być marynarzem. Nie udało mu
się, lecz jego ostatnią wolą było podzielić wieczysty los tych,
których podziwiał. Zarządził zatem, by jego ciało, ledwo okry-
te całunem, zostało złożone we wspólnym grobie apatrydów,
tam gdzie bratali się ludzie z najdalszych ziem, wyrzuceni
przez morskie fale, ludzie oplakiwani hen za horyzontem, sy-
nowie morza i wiatru, członkowie załogi wielkiego okrętu
śmierci.

- I tak to wygląda, Kurt. Nie potrafiłem spełnić twego żą-
dania. Ona nie będzie szczęśliwa ze mną ani ja nie będę szczę-
śliwy bez niej. Kilka godzin temu piłem po raz ostatni z jej
ust, a słowa miłości nie oparły się huraganowi rozumu. Po-
wiedziałem jej „żegnaj” i rozkrwawiłem własną duszę. Aby
nie zdradzić życia, zdradziłem miłość, i nie czuję z tego powo-
du dumy. Nie wiem, co będzie z nią ani ze mną. Nie wiem, czy
jej ból sprawi, że mój będzie jeszcze trudniejszy do zniesie-
nia, ani czy mój stanie się ofiarą złożoną po to, by uśmierzyć
jej cierpienie. Nie znam wiatrów wymiatających porażki, nie
wiem, skąd wieją ani czy chcę ich oczekiwać z rozpostartymi
skrzydłami. Przepraszam, Kurt, uciekam bez steru i kierun-
ku, uciekam. Może jutro powiem, że w końcu o niej zapo-
mniałem, aż jej oczy zalśnią na dnie kieliszka. Może zbuduję
swoją dom na innej ziemi, aż wreszcie morze przypomni mi
smak jej ust. Może zapalę ogień, zwołam swoich bliskich,
a cienie tych, których kocham, przypomną mi o jej nieobec-
ności. Jednak została mi pewna pociecha, łącząca mnie z two-
im losem: pewność, że tylko ty i ja mamy prawo wznieść za
nią toast. Na zdrowie! Prosit, kolego!

Anioł zemsty

Reguli Sachs,

komisarzowi policji i ogrodnicze

Kobieta mogła mieć dwadzieścia pięć, może trzydzieści
lat, rozmieszczonych w ciele, które pomimo stanu, w ja-
kim się znajdowała, jawiło się smukłe i pięknie ukształtowa-
ne. Wszystko to jednak nie miało już żadnego znaczenia, gdyż
pomiędzy nią a czasem otwierała się przepaść całkowitej obo-
jętności.

Ułożona na wznak na lśniącym metalowym stole, była niczym paczka oczekująca na naklejenie znaczków, zanim nadawca wyekspeduje ją w ostateczną podróż, bez powrotu i bez postojów dla potencjalnych wyrzutów sumienia. Śmierć jest jedynym naszym dokonaniem osiągającym doskonałość, a jednak zabroniono nam ją oglądać.

Dwa otworki, jeden na lewej piersi, a drugi blisko gardła, były otoczone sinawymi aureolami świadczącymi o tym, z jaką siłą pociski przebiły ciało.

- Zna ją pan? - spytał detektyw Kaltwasser z Kripo, Brygady Kryminalnej Hamburga.

Długie czarne włosy rozsypane po stole musiały jej sięgać do ramion i były bardzo zadbane, końce miały podcięte z przesadną starannością i w spokoju owej nieruchomej pozycji zdawały się kałużą lśniącej czarnej wody. W niewielkich ustach o wargach mięsistych i półotwartych, jakby złożonych do szeptu, lśniły dwa białe zęby. Oczy także były na wpół otwarte i zimne światło kostnicy odbijało się w dolnym łuku tęczówek.

- Zna ją pan? - powtórzył Kaltwasser.

- Nie. Nie znam - odpowiedziałem.

- Proszę się dobrze przyjrzeć, jej się nie spieszy, więc ma pan mnóstwo czasu. - Detektyw energicznym ruchem ściągnął zielony materiał okrywający zwłoki.

Była piękną kobietą o wyrazistym zarysie sylwetki, wąskiej talii i długich nogach. Miodowy odcień, jaki nadal zachowała jej skóra, był naturalny, nie stanowił efektu kwarcówek. Obserwując to odarte z intymności ciało, poczułem się jak bezwstydnik. Mój wzrok umknął z owłosionego łona i zatrzymał się na wielkim palcu prawej stopy. Tam właśnie pracownicy prosektorium przyczepili etykietę, na której widniały spółgłoski „NN” oraz numer.

„NN”. No name. Narodowość nieznana. Dwa razy nic.

- A zatem? - nalegał detektyw.

- Nie znam jej. Nigdy wcześniej nie widziałem tej kobiety.

- Jest pan pewien?

- Nigdy jej nie widziałem, a przynajmniej nie pamiętam.

Ileż to osób widzimy codziennie na ulicy, w metrze, przy wyjściu z kina? Nie wiem, kto to jest ani jak się nazywa.

Wyszliśmy z przechowalni nieboszczyków i ruszyliśmy długim korytarzem, zimnym i kompletnie pustym, aż doszliśmy do dystrybutora napojów. Detektyw wrzucił do otworu kilka monet, a potem podał mi tekturowy kubek z ciecżą o niewyraźnym zapachu kawy.

- Pieprzona pogoda - mruknął, spoglądając w stronę okna.

Za szybami widać było ulicę, słabo oświetloną przez deszczo-

wy świt.

- Deszcz mi nie przeszkadza, to właśnie lubię w Hamburgu - odpowiedziałem.

- A mnie przeszkadzają niezidentyfikowane zwłoki, szczególnie jeśli należą do młodych, pięknych kobiet, a jeszcze bardziej, jeśli mają dwie dziury po kulach - odparł, siorbiąc swój napój.

Mieszał kawę plastikową łyżeczką, dmuchał, pił i nieustannie mnie obserwował. Może przypominał sobie którąś z lekcji w akademii policyjnej, gdzie radzono adeptom, by uważali za podejrzany cały rodzaj ludzki.

- Sądzę, że to pańska rodaczka - rzekł, wrzucając kubek do kosza.

- Możliwe, ale jej nie znam - powtórzyłem z naciskiem.

- Jednak wie pan, że to pańska rodaczka - nie ustępował.

- Nie wiem. Skąd, u diabła, mam to wiedzieć?

- Rysy twarzy, nie sposób się pomylić - wyjaśnił.

Ten typ wyciągnął mnie z łóżka o szóstej rano, nie dając mi czasu na prysznic. Zapewniał, że wszystko potrwa parę minut, zabrał mnie do prosektorium, by mi pokazać trupa pięknej nieznanym, a teraz upierał się, że łączy mnie z tą kobietą więzy narodowości.

- Jest Chilijką, tak samo jak pan, prawda? - nalegał, wymierzwszy we mnie oskarżycielsko palec wskazujący.

Chciałem mu powiedzieć, że zgodnie z ostatnim spisem ludności jest nas, Chilijczyków, trzynaście milionów, dwanaście w kraju i milion błakających się na wygnaniu, że Chilijki bywają brunetkami, blondynkami, zdarzają się rude, łyse, chude, grube, o posągowych kształtach, wysokie i niziutkie, jednak ja nie znam ich wszystkich, choć bardzo nad tym ubolewam - aż wreszcie niespodziewane pojawienie się sprzątacza nasunęło mi argumenty większej wagi.

- Panie Kaltwasser, jakiej narodowości jest ten facet? - odezwał się, wskazując wąsacza zmywającego mopem korytarz.

- To Turek. Nie wiem, z jakiej prowincji, ale to Turek - zapewnił.

Zawołałem wąsacza, który czując bliskość gliny, podszedł nerwowym krokiem. Zapytałem go, skąd pochodzi. Łamaną niemiecką wyjaśnił, że jest Polakiem z Krakowa, katolikiem, a papiery ma w porządku.

- Rysy, których nie sposób pomylić, he?

- Chodźmy. Chcę, żeby pan coś zobaczył - powiedział szybko detektyw, jakby się oganiał od muchy.

- Dokąd idziemy? Widziałem już nieboszczkę i nie znam

jej. Czego pan jeszcze ode mnie chce?

- Chcę się dowiedzieć, skąd miała pańskie nazwisko i numer telefonu. Jestem strasznie ciekawski - odparł i ruszyliśmy ku wyjściu.

Budynek hamburskiej Kripo, jak wszystkie należące do policji, na zewnątrz prezentował się dość ponuro, szczególnie pod zasnutym chmurami jesiennym niebem. Lecz w środku niemiecka namiętność do roślin pokojowych nadawała przestrzeni egzotyczny charakter. Na prawie wszystkich biurkach stały donice z jukami, w kątach mnóstwo koszmarnych kuczukowców, wszystkie zaś okna były udekorowane smutnymi tropikalnymi figowcami.

Kiedy już się wyjaśniło, że jestem dobrowolnym współpracownikiem, w żadnym wypadku podejrzanym, detektyw Kaltwasser polecił mi zaczekać w sali przypominającej ogród zimowy. Spędziłem tam zaledwie chwilę, paląc i przeglądając magazyny reklamujące samochody, kiedy wszedł facet o wyglądzie mastodonta, uzbrojony w plastikową konewkę i regulaminowego walthera kalibru dziewięć milimetrów, ukrytego w kaburze.

- Czy zechciałby pan zgasić papierosa? Jeśli pan sobie życzy, może palić w korytarzu - rzekł w charakterze powitania. Zgniotłem niedopałek i zobaczyłem, że policjant klęka w kącie sali. Jego ramiona znalazły się w ten sposób na wysokości mojej głowy.

- Dzięki. Mojej maleńkiej szkodzi dym! - wykrzyknął paskudnie ojcowskim tonem.

- Pana maleńkiej? - zapytałem, szukając wzrokiem jakiejś karliczki lub może wiewiórki.

- To ona. Aloes z Jawy. Liście wydzielają sok o właściwościach kojących. - Wskazał na wiązkę zielonych jęczyczków wyrastających z donicy.

Po chwili polecono mi udać się do inspektora Stahla. Jego biuro wyposażone było w drewniane meble naturalnej barwy. Wszędzie pachniało Ikea, a kokosowa mata przydawała wnętrzu skandynawskiego ciepła. Psychologowie radzili, by przenieść jakiś szczegół z domowego środowiska, cokolwiek, do miejsca zatrudnienia, a ów policjant wziął to sobie poważnie do serca. Inspektor Stahl wskazał mi drewniane krzesło naprzeciwko biurka, a żebyśmy mogli widzieć nawzajem swoje twarze, przesunął donicę z rajskim drzewkiem, ustawioną dokładnie między nami. Za jego plecami stała biblioteczka, również drewniana, z olbrzymią paprocią na górze. Zadałem sobie w duchu pytanie, czy nie trafiłem przypadkiem do biura straży leśnej. Detektyw Kaltwasser stał, trzymając tekturowe pudełko.

- Przykro mi, że zajmuję panu czas, i jednocześnie jestem wdzięczny za współpracę - powiedział inspektor Stahl, otwierając fiolkę aspiryny.

Pomyślałem, że mnie poczęstuje, lecz on tylko wyjął kilka pastylek i wetknął je do ziemi w donicy z rajskim drzewkiem.

- To najlepsze dla roślin. Zapewnia mocne liście i chroni przed pasożytami - oznajmił, chowając fiolkę do szuflady biurka.

- Pan także hoduje rośliny? - spytałem detektywa.

- Na znacznie większą skalę. Kaltwasser jest zapalonym ogrodnikiem, jego tulipany są cudowne - pośpiesznie wyjaśnił inspektor.

- Dziękuję, panie inspektorze - rzekł detektyw, wyraźnie zawstydzony.

- Mówię, jak jest. Ale dość już o roślinach... Zrekapitulujmy: wczoraj wieczorem zatelefonował do nas pewien obywatel, który zapewniał, że usłyszał strzały w pokoju hotelu Blaue Stern. Wie pan, o którym hotelu mówię? - zaczął inspektor.

Blaue Stern, Błękitna Gwiazda, hotel tranzytowy, pełen wszy i kurew, w pobliżu Dworca Głównego, w zakazanej dzielnicy Sankt Georg, hamburskiej Chinatown. Wiedział o nim każdy mieszkaniec miasta.

- Wiem, gdzie ten hotel się znajduje, ale nigdy nie byłem jego gościem - odpowiedziałem.

- I bardzo dobrze. To nie jest hotel godny polecenia. Dotarliśmy na miejsce i okazało się, że istotnie wystrzelono tam dwa razy z pistoletu. Dwie kule wyszły z lufy rzadkiej broni, niespotykanej w przestępczych kręgach Hamburga. Był to ballester produkcji argentyńskiej, obiekt prawie muzealny. Zna się pan na broni? - zapytał inspektor Stahl.

Wiedziałem coś niecoś, ale ze źródeł literackich. Przez wiele lat policja argentyńska używała pistoletów Ballester - pirackiej kopii kolta armii amerykańskiej. Była to także broń dość popularna wśród partyzantów z Południowego Stożka Ameryki. W powieściach Soriana, Sasturaina, Rolo Dieza i Giardinello jest wiele wzmianek o tych pistoletach.

- Nic nie wiem. Nigdy nie lubiłem broni palnej.

- Tym lepiej. Dwa wystrzały, dwa pociski kalibru dziewięć milimetrów, które utkwily w ciele kobiety, na razie niezidentyfikowanej, uśmierciły ją natychmiast. Według Kaltwassera zapewnia pan, że nie zna tej kobiety,

- I podtrzymuję to zeznanie. Musiała się zarejestrować w hotelu.

- Tak myśleliśmy, ale nocny recepcjonista, Portugalczyk,

przysięga, że nie widział, jak wchodziła. I dzienny tak samo. Jak i kiedy weszła do hotelu... oto tajemnica! Ma pan jakiś pomysł?

Kiedy policjant upiera się, że coś wiemy, należy dobrze przemyśleć odpowiedź. Nie ma nic smutniejszego niż rozczarowany glina. Poczulem niepohamowaną chęć zapalenia papierosa, lecz była tam przecież paprotka z całą swą zieloną bezbronnością, doskonale strzeżona przez dwóch policjantów.

- Porozmawiajmy szczerze. Uważają mnie panowie za podejrzanego?

- Nie, ale ma pan z tą sprawą jakiś związek. Kobieta miała pańskie nazwisko i numer telefonu, starannie zapisane w notesiku. Kaltwasser, proszę otworzyć pudło.

Detektyw zdjął pokrywę i wyrzucił na biurko liczne plastikowe koszulki. Były w nich rozmaite przedmioty - życie podsumowane w przezroczystych woreczkach.

Kaltwasser wyliczał:

- Kredka do brwi produkcji francuskiej; dzięki kodowi kreskowemu dowiemy się, gdzie została nabyta. Fiolka alka seltzer produkcji meksykańskiej. Koperta z hiszpańskimi znaczkami pocztowymi. Mnóstwo kart telefonicznych, francuskich, włoskich, hiszpańskich, i jedna niemiecka, ta ostatnia z niewykorzystanymi impulsami. Kilka biletów paryskiego metra. Monety francuskie, włoskie, duńskie, hiszpańskie, szwedzkie, rosyjskie i niemieckie. Długopis Parker. Bilet jednorazowy na linię numer trzy metra w Hamburgu, skasowany wczoraj po południu. Miała hiszpańskie botki, spodnie uszyte w Portugalii, rajstopy bez marki, niemieckie figi, włoski biustonosz, koreański sweter, tajwański trencz i jedwabną apaszkę bez marki. Coś panu mówi któryś z tych przedmiotów lub któraś z części garderoby?

- Przypuszczam, że na tym właśnie polega globalizacja, a kiedy na dobre zapanuje euro, wszystko stanie się dla pańców łatwiejsze.

- Istnieje radosna przestrzeń dla ironii i druga, okrutna, dla kpiny. Wie pan, czyje to zdanie? - zapytał inspektor.

- Nie, ale brzmi nieźle. Czegóż, do diabła, chcecie ode mnie?

- Powiedział to Nietzsche - oznajmił detektyw Kaltwasser i rzucił na stół notesik, którego kartki łączyła druciana spiralka.

- Proszę go wziąć do ręki, śmiało - nakazał inspektor.

- Został nabyty dwa dni temu w markecie Hertie na Dworcu Głównym - dodał detektyw.

Kieszonkowy notesik miał jakieś czterdzieści kwadratowych kartek. Z przodu zdobiła go fotografia dziecka bawiącego się

miotkiem czerwonej wełny. Do tylnej okładki z szarej tektury nadal była przyklejona naklejka Hertie z ceną. Otworzyłem go. Na pierwszej stronie zobaczyłem jedynie bezsensowną gmatwaninę linii, jakby ktoś próbował rozpisać niebieski długopis, lecz na drugiej widniały, starannie wykaligrafowane, moje nazwisko i numer telefonu. Nic ponadto.

- Pan wybiera: ironia czy kpina - rzekł inspektor.
- Nie wiem, kim była ta kobieta i dlaczego miała moje dane.
- Wierzę panu. Wie pan dlaczego? Jestem człowiekiem wyjątkowo łatwowiernym i dlatego myślę, że chciała przekazać panu jakąś informację. Zrobiła to? - nalegał inspektor.
- Nie. Dlaczego pan tak sądzi?
- Może dlatego, że jest pan dziennikarzem. Nie wydaje się to panu logiczne? - wtrącił się Kaltwasser.

Odwołując się do całej swojej wiedzy z zakresu kryminologii, nabytej dzięki lekturze Evana Huntera, zasugerowałem, żeby pobrali odciski palców albo sprawdzili moją sekretarkę automatyczną. Spojrzenia, jakie wymienili, sprawiły, że poczułem się śmieszny i opuszczony przez wszystkich.

- Nie istnieje powszechne archiwum linii papilarnych - powiedział inspektor.
- A w niektórych krajach, jak na przykład w Niemczech, odciski pobiera się jedynie od osób, które złamały prawo - wypalił Kaltwasser.

Dziesięć minut później znowu odpowiadałem na pytania detektywa, a ten, okazując wyraźne niedowierzenie, zapisywał moje zeznania na komputerze. Tego wieczoru, gdy popełniono zbrodnię, byłem na kolacji z grupą przyjaciół, którzy - kiedy Kaltwasser do nich zadzwonił, by sprawdzić moją wersję wydarzeń - w pełni potwierdzili moją opowieść, unikając najmniejszych sprzeczności. Odtworzyłem z pamięci potrawę, jakie zamówiliśmy w chińskiej restauracji przy Lincolnstrasse, i szczegółowo streściłem rozmowę przy stole, długą, pełną ciętych komentarzy na temat filmu obejrzanego przedtem w kinie Oasis. Ponadto okazałem rachunek za taksówkę, którą dotarłem do domu o drugiej dwadzieścia nad ranem.

- Jaki film państwo obejrzel? - indagował Kaltwasser.
 - Wysokie obcasy.
 - Almodóvar. Nie lubię filmów Almodovara. Ścisłej mówiąc, nie lubię kobiet Almodovara. Są zbyt odważne, zbyt liberalne. To mi się wydaje nie w porządku - rzekł detektyw.
- Wyszedłem z budynku Kripo z zaleceniem, bym przez kilka dni nie opuszczał miasta. Lało jak z cebra, pobeigłem więc na postój taksówek i parę minut przed dziewiątą rano znalazłem się w domu. Zacząłem przygotowywać wielki dzban kawy.

Dopóki nie zatelefonował do mnie detektyw Kaltwasser, uważałem się za w miarę szczęśliwego w Hamburgu. Uwielbiam deszcz, a tam pada do upojenia. Samotni mężczyźni przywiązują się do swoich rytuałów, a jeśli ich nie mają, zaczynają je wymyślać. Szczególnie lubiłem jeść śniadanie przy oknie, czuć deszcz za szybami. Z radia sączyła się cichutko muzyka stacji NDR2, opierałem powieść Eda McBaina o butelkę mleka i rozkoszowałem się niezrównanym niemieckim chlebem wieloziarnistym, w sam raz wypieczonym i zawsze chrupiącym.

Człowiek rodzi się niewinny, wystarczy jednak najmniej kontakt z glinami, żeby poczuł się winny, wszystko jedno czego. Policja to notes przypominający o grzechu pierworodnym.

Podczas gdy wrzątek kapął kropla po kropli na porcję kawy, nacisnąłem klawisz odtwarzania sekretarki automatycznej. Redakcja „Morgenpost” przypominała mi, że jak zwykle spóźniam się z artykułem o derbach w Kilonii. Zarabiałem wówczas na życie, pisząc o koniach. Była to spokojna metoda na wiązanie końca z końcem, wygodna i bez stresujących sprostowań czy listów do redaktora naczelnego, gdyż na szczęście konie na ogół bywają analfabetami.

Drugą wiadomość zostawiła kobieta, którą usiłowałem złowić poprzedniej nocy. Proponowała spotkanie w kawiarni nad Alsterem, by kontynuować dyskusję o Almodovarze i obcachsach, majstersztykach, które, jak deklarowała z uwodzicielskim przekonaniem podczas kolacji, powinny być obowiązkowe w kraju, gdzie poświęcano piękno na rzecz wątpliwego zdrowia, jakie miały zapewniać buty ergonomiczne, biologiczne, czy jakkolwiek mielibyśmy ochotę je nazwać. Jej słowa spotkały się z ogólnym aplauzem. Zawsze podobały mi się kobiety, które potrafiły w ten sposób wygenerować synergę. Trzecia wiadomość była po hiszpańsku. Pozostawił ją jakiś mężczyzna, który pomimo świadomie spowolnionej intonacji nie był w stanie ukryć wyraźnie karaibskiego akcentu. Nie powiedział wiele, jednak jego lakoniczny komunikat był sam przez się bardziej niż wymowny: „Otwórz tylko usta, a jesteś trupem”.

Odsłuchałem wiadomość wiele razy. Za czwartym czy piątym serce przestało mi bić w rytmie bębna i zdołałem dosłyszeć w tle muzykę. Podkręciłem natężenie dźwięku w automatycznej sekretarce. Była to melodia piosenki Juana Luisa Guerry o pewnej damie, której rośnie bilirubina. „Otwórz tylko usta, a jesteś trupem”. Mnie również podskoczyła bilirubina i natychmiast zadzwoniłem do swoich nowych przyjaciół

z Kripo.

Po dwudziestu minutach detektyw Kältwasser przybył w towarzystwie mastodonta, miłośnika aloesów. Ów przedstawił się jako Meier i wziął się do instalowania odtwarzacza taśm eliminującego obce szумы.

Groźący głos stał się lepiej słyszalny, tak samo jak muzyka w tle. Przetłumaczyłem wiadomość, Kältwasser zanotował ją kilka razy, obrzucił sekretarkę automatyczną krytycznym spojrzeniem i podsumował: to żalony rupieć, z tych, co nie rejestrują godziny otrzymania wiadomości.

- Zdaje się, że wpakował się pan w niezłe kłopoty - skomentował.

- To, co on robi, nadaje się do kryminału - wypalił Meier.

- Ja? Ależ ja nie zrobiłem absolutnie nic - zaprotestowałem.

- Wszystkie kwiaty na balkonie uschły. To są rośliny pokojowe i nie wytrzymują przymrozków. Sądzę, że nic się już nie da dla nich zrobić - uzalił się.

- A cóż mnie obchodzą te pieprzone rośliny!

Mastodont chciał coś dodać, lecz powstrzymał go gest Kältwassera. Na razie musieli się zająć zastrzeloną „NN” i telefonem z pogroźkami. Nadejdzie odpowiedni moment, żeby porozmawiać o moim niedbalstwie wobec roślin. Tak zrozumiałem gest detektywa.

Podpisałem, nie przeczytawszy, upoważnienie do podłączenia podsłuchu w telefonie, i wyszedłem z mieszkania, by obaj policjanci mogli spokojnie wykonać swą pracę.

- W dzbanku jest świeżo zaparzona kawa - powiedziałem, wkładając płaszcz.

Meier podszedł do ekspresu i wziął do ręki paczuszkę tchibo.

- Nie ma pan kawy ekologicznej? - spytał, nie patrząc na mnie.

Deszcz zmienił się w uporczywą lepka mżawkę, przez którą widać było zaledwie na kilka metrów. Chciałem iść szybkim krokiem, wydawało mi się, że to najlepszy sposób przezwyciężenia strachu, lecz wcale nie marzyłem o tym, by nappełniła mnie odwaga. Pełnoprawnymi bohaterami są jedynie umarli, a ja nie miałem zadatków na bohatera ani ochoty na ów tytuł. Szedłem więc, oglądając wystawy i usiłując przekonać samego siebie o dobroci drzemiącej w obcinarkach do włosów, miłosierdziu opon czy niewątpliwej poczciwości ogrodowych krasnali.

W Hamburgu, w jakimkolwiek kierunku by się szło, w końcu trafia się zawsze na Dworzec Główny. Długie korytarze jak zwykle przemierzali nerwowi podróżni, przerażeni cizbą narkomanów i włóczęgów, którzy znajdują tu odrobinę ciepła dla

ogrzania kości i jakieś resztki jedzenia. Przez megafony zapowiadano odjazd ekspresu Paryż-Warszawa, przyjazd intercity z Monachium, odjazd pospiesznego Bazylea-Zurych. Czy „NN” była w którymś z tych miast?

Opuściwszy dworzec, przeszedłem na drugą stronę alei i zatrzymałem się, by obejrzeć afisze teatralne. Schauspielhaus zapowiadał premierę Peer Gynta. No nie. Zdecydowanie Ibsen nie jest pocieszycielem strapionych.

A gdybym tak zamieścił ogłoszenie w „Morgenpost”?

„Tych, do których się to odnosi, informuję, że «NN» z hamburskiego prosektorium nic a nic mi nie powiedziała”.

Kiedy się zorientowałem, że dotarłem na plac Sankt Georg, chciałem się cofnąć, lecz nogi mnie nie posłuchały. Czy nam się to podoba, czy nie, wszyscy mamy zapisany w kodzie genetycznym mechanizm ucieczki do przodu.

Kilku policjantów prezentowało okolicznej faunie swoje zielone uniformy. Nigeryjczycy, z rękami w kieszeniach i wystraszonymi oczyma, udawali, że czekają na autobus, który nigdy nie nadjedzie. Nie opuszczała ich nadzieja, że zimno i mżawka przepędzą gliny i będą mogli spokojnie oferować klientom pacłeczki haszu fałszowanego parafiną. Albańczycy ściskali pośladki, by utrzymać między nimi kapsułki z heroiną, bogatą w wapń, sproszkowany talk i mąkę. Rosjanie uporczywie czytali gazety, z których nie rozumieli ani słówka. Buty mieli pełne bibulek kokainy ochrzczonej aspiryną. W mercedesach zaparkowanych po bokach placu Serbowie od „Arkana”, Czeczeni, Bułgarzy, Rumuni i jasnowłosi prawie albinosi z jakiegoś transazjatyckiego piekła komentowali swoje interesy: handel bronią, kurwami lub materiałem radioaktywnym. A w samym środku tego wszystkiego jakaś emerytka przeproszała za kłopot, jaki sprawia, wyprowadzając na siusiu swego pieseczka.

Policjanci odeszli, pozostawiając za sobą powiew nostalgii za murem berlińskim, a wtedy pewien Wietnamczyk wystawił na mżawkę niewinny karton winstonów, najczęściej przemycanych papierosów na naszej planecie.

Jakiś ćpun, siedzący na schodach Blaue Stern, próbował wyczuć tętnicę szyjną, by ją ominąć i wkluć się sobie w żyłę.

„NN” weszła do tego hotelu, dobrowolnie lub pod przymusem - chciałem się tego dowiedzieć. W recepcji grubas zajęty odwiezaniem kluczy na haczyki przerwał pracę i wybadał mnie wzrokiem, wcale się z tym nie kryjąc:

- Godzina dwadzieścia marek. Jeśli przychodzi pan tu się onanizować, proszę się postarać nie zaplamić ścian. Cała doba kosztuje osiemdziesiąt, płatne z góry.

- Chcę porozmawiać z panem, który ma nocny dyżur. To

Portugalczyk, mój przyjaciel. Wie pan, gdzie go mogę znaleźć?

- Wiem. Inna rzecz, czy powiem.

Położyłem na blacie banknot dwudziestomarkowy.

- Mieszka w Altonie. W noclegowni kościoła Sankt Jakob. Wyszedłem bez pożegnania. Cpun zasnął na schodach ze strzykawką wbitą w szyję.

Dawni mieszkańcy Altony mawiali, że dym i mundury są zwiastunami tragedii, i dopóki jeszcze stoi choćby jeden z domów starej dzielnicy robotniczej Hamburga, owo ukute przez plebs powiedzonko będzie aktualne. Wprawdzie z kościoła Sankt Jakob nie sączył się dym, ale widać było wiele policyjnych mundurów i żółtą taśmę broniącą parafianom wstępu. Inspektor Stahl oraz detektywi Kaltwasser i Meier nie wydawali się zaskoczeni na mój widok.

- Przypuszczam, że przyszedł pan w kwestii związanej z wiarą - skomentował inspektor.

- To prawdziwa pociecha zobaczyć, że jeszcze zostało trochę wiernych - dodał Kaltwasser.

Meier wzruszył ramionami i spojrzał na mnie z takim samym zainteresowaniem, jakim zapewne obdarzał psie kupy. W tylnej części kościoła rój policjantów zapisywał dane Algierczyków, Kurdów i innych cudzoziemców, którzy musieli stawić czoło strachowi i mżawce. Policjanci oddzielili tych, których uznali za nielegalnych, pastor zaś bronił ich, używając argumentów tak starych i zużytych jak oba Testamenty.

- Założę się, że pan go nie zna - rzekł inspektor, odsuwając zamek błyskawiczny czarnego plastikowego worka.

Wewnątrz był mężczyzna, równie czarny jak worek, z otworem pośrodku czoła.

- Portugalczyk? - zapytałem, pewien, że znam odpowiedź.

- Nazywał się Nelson da Freitas, lat czterdzieści, Kabowerdyjczyk z obywatelstwem portugalskim. To wszystko, co wiemy, i pan też nie wie nic więcej. Chyba się nie mylę? - wypluł inspektor.

„Pomyślcie o derbach w Kilonii, o tych przepięknych kaskach dżokejów galopujących po piasku” - powtórzyłem swym neuronom, patrząc, jak policjanci zamykają czarny worek, a potem zabierają ciało. Nie mogłem jednak w żaden sposób wyobrazić sobie konia.

Kaltwasser podsumował zeznania świadków, które brzmiały mniej więcej tak: „Portugalczyk spał, pozostali goście zbiorowej sypialni grali w domino przy piecyku lub przeglądali oferty pracy, kiedy, niczym w piosence Rubena Bladesa, wszedł morderca, całkiem naturalnie. Otworzył drzwi, pozdro-

wił ich gestem, skierował się bez wahania ku łóżku Portugalczyka i strzelił mu między oczy. Był to wysoki biały mężczyzna, na głowie miał wełnianą niebieską czapkę, nosił grube wąsy, a posłużył się wyjątkowo dużym pistoletem. Po wystrzale wyszedł, tak samo naturalnie, jak się pojawił, i gestem zachęcił obecnych do zachowania ciszy".

Inspektor Stahl słuchał i oglądał uważnie łuskę po kuli umieszczoną w plastikowej torebce.

- Przysięgłbym, że wystrzelono ją z ballestera. Proszę ze mną, zdaje się, że mamy kolejny temat do dyskusji - rzekł, wskazując mi jeden z samochodów.

Zapadła noc, kiedy otworzyliśmy drzwi mojego mieszkania. Meier obejrzał dokładnie pokoje, kuchnię, łazienkę, po czym zabrał się do przeszukiwania szuflad.

- Nie wydaje mi się, żeby morderca schował się tutaj - pozwoliłem sobie na uwagę, widząc go grzebiącego w skarpetkach.

- Nigdy nie wiadomo - odpowiedział.

Usiedliśmy naprzeciw telewizora. Meier położył pistolet na stojącym pośrodku stoliku i z ulgą odpiął kaburę. Pomimo włączonego ogrzewania było zimno, gdyż ujrzawszy, jak zapalam pierwszego papierosa, mastodont otworzył okno.

Tak oto spędziliśmy pierwsze godziny. Obejrzeliliśmy dziennik na kanale ZDF, z informacją o dwóch tajemniczych krwawych zabójstwach, jednym dokonanym w hotelu Blaue Stern, a drugim w kościele Sankt Jakob, następnie interesujący film dokumentalny o życiu seksualnym kalmarów, a potem jakiś teleturniej.

- Peru - rzekł Meier, wyraźnie wkurzony.

- Słucham? - odważyłem się odezwać.

- Największym producentem guana jest Peru. Ten kretynek nie odpowiedział na żadne pytanie.

Jasnowłosa gospodyni programu potwierdziła słowa mastodonta. Wyjęła z koperty kartonik i przeczytała, że Peru jest największym producentem i eksporterem guana dla rolnictwa i ogrodnictwa.

Kiedy dzwony kościoła Sankt Michaelis wybiły dziewiątą wieczorem, Meier pomacał się po brzuchu.

- Pan nic nie je? - zapytał.

- Możemy zamówić pizzę - zasugerowałem.

- Naturalnie. A dostawca rozwali nas jednym strzałem.

Słyszałem, jak buszuje po kuchni. Otwierał i zamykał szafki, zbadał dokładnie lodówkę i wrócił do salonu, kręcąc głową, najwyraźniej niepokieszony.

- Nie dba pan o rośliny ani o siebie. Ma pan w domu same śmieci, żywność genetycznie modyfikowaną, pełną konser-

wantów, barwników, sztucznych aromatów. Zawsze jada pan trucizny? - natarł na mnie.

- Przepraszam, ale można zamówić pizzę z razowej mąki z serkiem sojowym.

Mastodont jedynie westchnął ciężko, a po chwili usiadł i zaczął masować sobie dłonie. Wyłamywał palce, aż trzeszczały stawy. Była to seria niegłośnych wybuchów, jakby symbol jakiejś dziwnej, powstrzymywanej wściekłości. Miał za zadanie mnie chronić, ale wyraźnie mu się nie podobałem. Okazywał to, rzucając mi co chwila oskarżycielskie spojrzenia, które sprawiały, że czułem się jak pasożyt wkleszczony w jego korpułentne ciało.

Wcześniej tego dnia spędziliśmy razem wiele godzin, gdyż po powrocie z kościoła Sankt Jakob do siedziby Kripo pozostawiono nas w pustym biurze, w którym stał jedynie aluminiowy stolik i krzeselka. Zauważyłem, że Meier jest agresywny, i zdrząłem z lęku o własną skórę. Wcale mi się nie uśmiechało siedzieć tam z przeświadczeniem, że przeżywam jakiś pożyteczny czas, całkowicie obcy osobistej rutynie nadającej sens temu czasowi, który naprawdę do nas należy. Czułem też, że moje towarzystwo jest mu niemiłe. Widać to było po sposobie wyłamywania palców czy zakładania pasa z kaburą, którego lederwerki wrzynały się w fałdy otyłego brzuszyska.

- Wie pan, co ma pan zrobić? - zapytał nagle. Jego głos zadudnił w samotności biura.

- Powiedziałem wam prawdę. Jeśli chcecie, poddam się dobrowolnie badaniu wariografem - rzekliśmy jednym głosem ja i moja kultura czytelnika kryminalistów.

Meier westchnął, zanim się odezwał.

- Musi pan zmienić ziemię roślinom na balkonie. Możliwe, że korzenie jeszcze nie obumarły.

Kiwnąłem głową na znak zgody i to wystarczyło, by Meier zaprezentował mi próbkę swego talentu pedagogicznego. Zniosłem jakoś perorę o nawozach, herbicydach, środkach zwalczających roztocza, środkach owadobójczych, jak również znacznie gorsze komentarze na temat podłości ślimaków. Głośno przyznawałem mu rację, kiedy uderzając pięściami w stół, ostrzegał mnie przed niebezpieczeństwem czyhającym w deszczówce: z winy elektrowni jądrowych pada z nieba kwaśny syf, wystarczy zajrzeć do któregośkolwiek parku miejskiego, żeby to zauważyć. Dlatego należy podlewać rośliny wyłącznie odpowiednio odstaną wodą z kranu.

Powrót Stahla i Kaltwassera przerwał ową dysertację doktorską z dziedziny ogrodnictwa. Policjanci zaprowadzili mnie ponownie do skandynawskiego biura inspektora i tam wska-

zali mi tacę z kanapkami ze śledziem.

- Proszę jeść, zaraz przyniosą piwo. Zje pan coś i powie nam, czemu chciał się spotkać z Portugalczykiem. Może pan mówić z pełnymi ustami, jeśli ma pan ochotę - rzekł inspektor. Powiedziałem im prawdę. Nawet mnie samego zaskoczyło wyznanie, że zwykły, czysty strach nie kazał mi się wycofać, gdy dotarłem do drzwi wejściowych hotelu Blaue Stern, i że moja kultura czytelnika kryminałów podsunęła mi pomysł przekupienia recepcjonisty, by zdobyć adres Portugalczyka. W którejś z tych przeklętych książek przeczytałem, że zbrodniarze, wyznawszy swój czyn, odczuwają głęboką ulgę, jednak moje wyznanie przyprawiło mnie jedynie o poczucie śmieszności.

- Wierzę panu. Strach jest złym doradcą - skomentował Stahl.

- Proszę posłuchać tego - wtrącił się detektyw Kaltwasser i włączył magnetofon.

Ten sam głos, który groził mi z automatycznej sekretarki, powtarzał wiadomość: „W zamknięte usta mucha nie wpada, nie igraj z ogniem, pendejo”.

Policjanci już mieli tłumaczenie, musiałem tylko wyjaśnić im znaczenie ostatniego słowa.

- Brzmi to poważnie. Mogę być następny - mruknąłem.

- Na to wygląda, chyba że za jednym cholernym razem powie nam pan wszystko, co wie! - wykrzyknął inspektor, waląc pięścią w biurko.

Gliny są bardzo nieufne, zwłaszcza gdy stykają się ze smutnymi prawdami faceta, którego jedynym marzeniem jest przetrwać jakoś tę ubogą ofertę, jaką mu prezentuje chwila obecna, gdyż przeszłość z całym swym blaskiem pozostała definitywnie z tyłu, a przyszłość jest niczym zakład na wyścigach konnych: wszystko zależy od pogody, konsystencji gruntu, błota, a przede wszystkim od mocy tych, co wysoko stawiają. Nie ma naturalnych zwycięzców, tylko pierwsze miejsca przyznane pośród cieni. Wyścigi konne, jak wszystko inne w życiu, są wielkim szachrajstwem i nie pozostaje nam nic innego, jak tylko tańczyć w rytmie tych, co płacą za orkiestrę.

- A zatem jest pan, jak to określamy, przykładowym obywatelem - skomentował inspektor.

- Z tych najlepszych. Wytresowanym, oswojonym, zasymilowanym, zintegrowanym. Nie mam nic wspólnego ani z „NN”, ani z Portugalczykiem, ani z facetem od telefonów.

- Damy panu ochronę.

- Zna pan Meiera. - Detektyw Kaltwasser wskazał mastodonta. - On będzie pańskim aniołem stróżem.

I tak tkwiliśmy w moim mieszkaniu samotnego faceta.

Meier zajęty był wyłamywaniem palców, a ja próbowałem uporządkować przyczyny strachu.

O jedenastej w nocy Meier rozpoczął nerwowy spacer. No- siło go od drzwi do okna i od kuchni do łazienki. Z jego żołąd- ka wydobywały się głuche dźwięki. Wypił mnóstwo wody i usiadł ponownie przed telewizorem.

Na pierwszym kanale pokazywali Festiwal Strudla w Sa- arbrucken: nieskończony rząd jabłeczników wypełnił ekran. Zmieniłem kanał. Na drugim leciał film z Budem Spence- rem, akcja rozgrywała się na Sycylii: brodaty grubas pożerał gigantyczną porcję spaghetti. Kiszki Meiera wydały przeraź- liwy dźwięk spuszczonej wody.

Zobaczyłem, jak bierze do ręki słuchawkę telefonu, a na je- go twarzy maluje się wyraz niepokoju.

- To ja - odezwał się. - Bądź tak miły i wyświadcź mi nie- wielką przysługę. Niech ktoś nam przyniesie coś do jedzenia. Wybacz, ale wiesz, co się ze mną dzieje, kiedy jestem głodny. Odwiesił słuchawkę i wrócił przed telewizor. Szczęśliwie kanał prywatny nadawał film dokumentalny o Bangladeszu i nikt na ekranie nie jadł.

W Bangladeszu panował ruch ludzi i słoni. W Hamburgu noc płynęła powoli. Padało i ów jednostrunny dźwięk deszczu pochłaniał dochodzące z ulicy hałasy. Pomyślałem, że to ide- alna noc na morderstwo, i natychmiast poprzysiągłem sobie, że nigdy więcej nie otworzę kryminału. Meier ścisnął brzuch za każdym razem, gdy ten podnosił protest, i zaraz spoglądał na zegarek. Zacząłem czuć do niego sympatię. Na pewno miał rodzinę, żonę i dzieci tak samo korpulentne jak on, Ani chy- bi już spali, zadowoleni, po kolacji, na którą zjedli brukiew, szpinak i inne zdrowe produkty tej ziemi.

Kwadrans po jedenastej zabrzączał dzwonek. Meier złapał pistolet i podszedł do domofonu. Nacisnął klawisz i zapytał, kto tam. Z głośnika dobiegł głos detektywa Kaltwassera.

Meier cały czas stał przy drzwiach, z okiem przyklejonym do wizjera. W pewnej chwili westchnął z ulgą, schował pisto- let do kabury i otworzył.

Kaltwasser wpadł do mieszkania niczym tajfun. Potknął się o stojący pośrodku stół i runął jak długi na podłogę.

W drzwiach pojawiła się sylwetka mężczyzny w oliwkowym trenczu, z pistoletem w prawej ręce. Tłumik sprawiał, że broń wydawała się olbrzymia.

- Pan to poda - rozkazał mi, wskazując papierową torbę, którą detektyw Kaltwasser nadal trzymał w ręku.

Pochyliłem się, żeby ją podnieść, a lufa pistoletu podążyła

za każdym moim ruchem.

Rzuciłem mu torbę pod nogi, on zaś, nie przestając w nas mierzyć, ugiął powoli kolana, otworzył ją wolną ręką, wyjął sandwicza, po czym się wyprostował.

- Jak człowiek przesiedzi wiele godzin na schodach, kona z głodu - odezwał się, odgryzając kęs.

Przeżuwał z wolna, oparty plecami o drzwi. Lufa pistoletu wędrowała od Meiera do Kaltwassera, a ja byłem pomiędzy nimi. Kiedy przeżuwał, jego grube wąsy się poruszały.

- Co to jest, do cholery? - mruknął, patrząc kątem oka na to, co jadł.

- Chce wiedzieć, z czym jest ta kanapka - przetłumaczyłem wśród pomruków.

- Z kotлетem sojowym - powiedział Kaltwasser i znów zacząłem tłumaczyć.

- Ale syf! Jak wy możecie jeść to świństwo? Pan, grubasku, podniesie teraz prawą rękę, a dwoma palcami lewej wyjmie pistolet. Potem pan się odwróci, bo chcę zobaczyć, czy nie ma pan drugiego żelastwa na plecach - rozkazał Meierowi. Policjant nie poruszył się, bo po prostu nie zrozumiał, co tamten mówi. Mężczyzna wypluł to, co miał w ustach, i przyłożył mu lufę do głowy.

- Chce, żeby pan wyjął swój pistolet dwoma palcami lewej ręki, a potem się odwrócił i pokazał mu plecy - przetłumaczyłem nieustraszonemu Meierowi.

Detektyw posłuchał. Mężczyzna w oliwkowym trenczu zrobił kilka kroków do przodu, wziął do ręki regulaminowego walthera i schował go do kieszeni. Potem cofnął się ku drzwiom.

- Dzięki, braciszku, zawsze mówiłem, że dobrze jest znać języki obce. Teraz pan i ja udamy się na spacer, musimy pogadać o interesach.

Nie byłem w stanie poruszyć żadnym mięśniem, byłem przyklejony, przygwożdżony do dywanu, lecz gdzieś w samym środku lęku, jaki budziła wymierzona we mnie broń, pojąłem, że nie zabije mnie tam, nie od razu. Ów typ przyjął za pewnik, że „NN” i ja rozmawialiśmy ze sobą.

- Jest pan głuchy? Idziemy! Jak muszę czekać, robię się wkurzony.

Strasznie się wysilałem, by utrzymać równowagę, drżało całe moje ciało, a żołądek lada chwila miał się zamienić w kamień. Z podłogi Kaltwasser pokazał mi gestem, że mam być posłuszny.

- Tak już lepiej. Zanim wyjdziemy, powie pan swym przyjaciółom, że mają siedzieć cicho, nie ruszać się z miejsca. Sza-

nuję niemieckich policjantów, ale jeśli któryś z nich pójdzie za nami, rozwalę go, i pana naturalnie tak samo.

Była to rozmowa głuchoniemych. Kaltwasser wyraził zgodę ruchem głowy. Meier poszedł w jego ślady. Posiniał z wściekłości, ujrawszy, jak mężczyzna depcze torbę z kanapkami. Wyszliśmy. Nieznajomy kazał mi zamknąć drzwi na oba zamki. Popychając, poprowadził mnie ku schodom, a kiedy zamierzałem zejść z pierwszego stopnia, pociągnął mnie za rękę.

- Nie, proszę pana. Idziemy na górę. Nie lubię pośpiechu, a pańscy przyjaciele wyłamią drzwi w parę sekund.

Tak też się stało. Uchylaliśmy właśnie klapę otworu prowadzącego na dach, kiedy dobiegający z dołu huk dał nam znać, że detektywi wychodzą z mojego mieszkania.

Przestało padać, lecz czarne chmurzyska wieściły bardzo krótki odpoczynek nieba. Z lufą pistoletu przyklejoną do pleców musiałem podejść prawie do krawędzi dachu. Od ziemi dzieliło mnie siedem pięter.

- No dobra, szkoda czasu. Nie wiem, dla kogo pan pracuje, i wcale mnie to nie obchodzi. Powie mi pan, gdzie jest lista, i dam panu spokój. Przegrał pan, braciszku. Rozumie pan? Całą siłą woli powstrzymując zawrót głowy, spojrzałem w dół. Meier i dwaj policjanci biegli ulicą.

- To wszystko pomyłka. Nie wiem, o jakiej liście pan mówi. Nie wiem absolutnie nic - broniłem się, a słowa miały smak soli.

- Nie utrudniaj mi sprawy, braciszku. Proszę się obrócić, niech się pan nie boi.

Odwróciłem się posłusznie, zostawiając przepaść za plecami. Mężczyzna w oliwkowym trenczu kucnął o jakieś dwa metry ode mnie. Układał na dachu pistolety policjantów. Swoją też położył obok.

- Jak ludzie rozmawiają, to się zawsze dogadają, braciszku. Ile mieli panu dać za tę listę? Ja panu oferuję sto tysięcy dolarów, i pokój z nami. To niekiepska suma, o wiele lepsza niż upadek z tej wysokości.

W ustach zbierała mi się gęsta, prawie zakrzepła ślina, nie mogłem jej przełknąć. Mężczyzna w oliwkowym trenczu wyprostował się, pozostawiając trzy pistolety na dachu.

- Nie chcę zrobić panu krzywdy, chyba że mnie pan do tego zmusi. Sto tysięcy dolarów albo skok w przepaść. Pana wybór, braciszku.

Wystarczyłby jeden skok, jeden błyskawiczny ruch, i mógłbym mieć w garści któryś z pistoletów, lecz moje mięśnie praktycznie przestały istnieć, a ja stałem się częścią świata zielonkawych dachów Hamburga, jeszcze jedną pokrytą wil-

gocia cegła.

- Powoli tracę cierpliwość, braciszku.
- Stracisz jej jeszcze znacznie więcej - dobiegł z ciemności czyjś spokojny głos.

Mężczyzna w oliwkowym trenczu trwał w bezruchu. Ja także nie odważyłem się poruszyć. Z lasu kominów wyłoniła się szczupła sylwetka kogoś znajomego: ćpuna z hotelu Blaue Stern.

- Proszę się nie obawiać, niech się pan odsunie od krawędzi. Pan nic nie wie, najwyższy czas coś wyjaśnić. Przedstawiam panu Johnny'ego Salasa alias komendanta Ulissesa, kiedy służył w nikaraguańskich kontras. Odznaczony przez Reagana, teraz w służbie innej mafii - rzekł, nie podnosząc głosu.

Mówił powoli, zmęczonym tonem zdradzającym Niemca, który nauczył się hiszpańskiego w Ameryce Środkowej.

W prawej ręce trzymał karabin z uciętymi lufami.

- Kim pan jest? I co, u diabła, ja mam z tym wszystkim wspólnego? A kobieta? A Portugalczyk? •
- Johnny i kobieta pracowali razem, ale się nie znali. W nowej, postkomunistycznej Rosji istnieje olbrzymi rynek zbytu zdrowych ludzkich organów: oczu, nerek, serc dzieci z Gwatemali, Hondurasu, całej Ameryki Środkowej. Kobieta była kupcem, a ten facet sprzedawcą. Zabrało nam dwa lata... a proszę nie pytać, kim jesteśmy... zanim wpadliśmy na jej trop. Pojechaliśmy za nią do Hamburga. Miała listę zamówień nowych klientów... prywatnych szpitali, klinik chirurgii plastycznej ... ale to on nas interesował.
- Nadal nic nie rozumiem - rzekłem. - Ten facet zabił Portugalczyka.
- My przeprowadziliśmy egzekucję kobiety, a Johnny wyeliminował Portugalczyka, by zatrzeć ślady. Portugalczyk był jedynie gońcem. Jego misją było odebrać tę listę, a ponadto zaliczkę w dolarach, i dostarczyć jedno i drugie Johnny'emu... tak robili przy innych okazjach... lecz kiedy znalazł martwą kobietę, zdenerwował się. Zadzwoił do swego szefa i „bohater wolności” połknął haczyk. Zostawiliśmy notesik z pańskim nazwiskiem i numerem telefonu w torbie kobiety. Wybraliśmy pana na chybił trafił, był pan przynętą i mieliśmy pana cały czas chronić; jednak Johnny popełnił błąd początkującego i w to wszystko wpakowała się policja.
- Absolutnie nic nie rozumiem - upierałem się.
- Gówno - mruknął mężczyzna w oliwkowym trenczu.
- Tak, gówno. Twoim błędem było wyrwanie kartki z danymi i pozostawienie notesika. Policja poszła śladem znalezio-

nym na następnej stronie.

- Aleja widziałem pana rano przed hotelem - powiedziałem.
- Śledziłem pana, żeby pana chronić. Cały czas mieliśmy dawać panu ochronę. Teraz proszę odejść i zapomnieć o wszystkim - poprosił mnie ćpun z hotelu Blaue Stern.
- Widziałem, jak pan sobie coś wstrzykuje. To była heroina?
- Surowica. Aby być przezroczystym, trzeba upodobnić się do śmieci.

Co dziwne, człowiek w oliwkowym trenczu zdawał się spokojny. Trzy pistolety leżały u jego stóp, lecz on nie spuszczał wzroku z wymierzonego weń karabinka z uciętymi lufami.

- Kto ma listę? - zapytałem.
- Taki jeden. A teraz proszę się zmyć. Pańska rola się skończyła.

- Muszę zawiadomić policję.

- Proszę bardzo. Zapewniam pana, że nie uwierzą.

Kilkoma ruchami zsunąłem się przez otwór i puściłem biegiem po schodach. Drzwi mojego mieszkania leżały wyłamane, a sąsiedzi patrzyli na mnie z przerażeniem na twarzach. Wybie-rałem numer policji, kiedy z ulicy usłyszałem krzyki.

Mężczyzna w oliwkowym trenczu roztrzaskał się o pojemniki na śmieci. Jego ciało z rozrzuconymi rękoma i nogami stało się jeszcze jednym śmieciem.

Detektywi Meier i Kaltwasser, którym deptali po piętach inni policjanci, przybiegli do mojego mieszkania i znaleźli mnie wpatzonego w ciemne niebo Hamburga. Zaprowadzi-łem ich do otworu, wspięliśmy się na dach. Znaleźliśmy tam jedynie wiatr i samotność. Anioł zemsty odfrunął gdzieś daleko - dałby Bóg, jak najdalej - w jakieś inne rejony, gdzie ręka człowieka musi niekiedy poprawiać to, o czym zapomnieli bogowie.

Odbudowa Katedry

Moim przyjaciółkom i przyjaciołom z Asturii,
którzy mi przywrócili grunt pod stopami

Owa podróż zaczęła mieć sens dopiero na widok tego, co się zachowało z Katedry - do niedawna dumnego szła-su o trzciniowych ścianach i galmanowym dachu, pozostające-go pod zarządem Eladia Galana, Kolumbijczyka, który w pewne południe, zagubione w mgłach pamięci, przycumo-wał swoje czółno do nabrzeża w El Idilio, wyszedł na brzeg, stawiając na ziemi całe stopy, co potwierdzało jego kondycję cierpiącego na płaskostopie, i wznosząc dwa cenne przedmio-ty, jakie miał w rękach - akordeon i karafkę rumu - wygłosił donośne powitanie: „Panowie, nadchodzi rozkosz!"; owo cu-downe stwierdzenie nie wyrwało jednak z drzemki kilku

mieszkańców osady, którzy o tej godzinie kanikuły nie życzyli sobie innego ruchu niż łagodne kołysanie hamaków.

- No dobra, stary, znów tu jesteśmy - mruknął doktor Rubicundo Loachamin, dentysta, który w przeszłości całkiem nieodległej, a przez to jeszcze się niepoddającej korozji zapomnienia, odwiedzał amazońskie osady, zarówno te rozwijające się, jak i te podupadłe, na brzegach rzek Zamora, Yacumbi i Nangaritza, anarchistycznymi mowami łagodząc koszmary, jakie przeżywali ich mieszkańcy, trapieni bólem zębów, oraz przywracając uśmiechy, co czynił za sprawą protez, które okazywał pacjentom na skrawku sukna barwy kardynalskiej purpury.

Jego towarzysz, Antonio Jose Bolivar Proaño - mężczyzna w wieku trudnym do określenia, który by nie wysłuchiwać tytułu tak znakomitych imion, wołał, żeby go nazywano „starym” - zanim przemówił, sięgnął do kieszeni spodni, wyjął zawiniętą w chusteczkę sztuczną szczękę, włożył ją do ust, mlasnął językiem, splunął i spojrzał na rozciągającą się przed jego oczyma panoramę spustoszenia.

- Banda łajdaków, zrównali wioskę z ziemią - odezwał się.

- Oczekiwałeś czegoś innego od rządu? - odparł dentysta.

- O którym mówisz? O peruwiańskim czy ekwadorskim? - dopytywał się stary.

- Na jedno wychodzi. Oba to gówno wysrane przez ten sam tyłek - podsumował filozoficznie dentysta.

Dwaj mężczyźni, związani przyjaźnią niepotrzebującą słów i starą jak pamięć, dotarli do ruin El Idilio po tygodniu marszu przez milczącą groźnie dżunglę, która ponad pół roku po zakończeniu konfliktu między Peru a Ekwadorem nie odzyskała pierwotnych zapachów, za to cała cuchnęła śmiercią. Siedem dni wcześniej, na polanie w sercu dżungli, obok parowu Shumbi, który dał schronienie zbiegłym mieszkańcom El Idilio, alkad, gruby i ociekający potem, próbował odzyskać swą obywatelską rolę, wygłaszając płomienną, lecz niezbyt zrozumiałą dla słuchaczy przemowę.

„Obywatele, nadeszła godzina, by odbudować obecność naszego narodu w Amazonii. Wszyscy mężczyźni w wieku poborowym, gotowi do poświęceń dla ojczyzny, niech wystąpią” - rzekł grubas, uczepiwszy się kurczowo rączki parasola, którego srebrzyste pręty prześwitywały spośród resztek niegdyś czarnego materiału.

„Której ojczyzny, ekscelencjo?” - chciał się upewnić jeden ze zbiegów.

„Naszej, imbecyłu. Którejkolwiek” - odparł alkad.

„Rzecz w tym, że teraz nie wiemy, czy jesteśmy Peruwiań-

czykami, czy Ekwadorczykami. Zresztą tak czy inaczej mamy przesrane. Jeśli wrócimy, to albo nas zamordują, albo rozstrzelają jako szpiegów. Mniejsza o to, której ojczyzny mundury będą mieli na sobie" - uściślił kolejny z uciekinierów. Alkad otarł spływający mu po twarzy pot, uniósł parasol i wskazał nim grupę Shuarów, którzy z rozbawieniem oglądali tę scenę.

„A wy, ludzie dżungli, jesteście gotowi służyć ojczyźnie?" Shuarowie odnaleźli starego i zaczęli z nim rozmawiać w swoim języku, spluwając obficie po każdym zdaniu.

„Mówią, że wojnę zaczęli biali, a oni nigdzie nie pójda, bo wszędzie mnóstwo roślin śmierci" - przetłumaczył stary.

Alkad przeklął ich brak odwagi, znikomą miłość ojczyzny, spłynął potem odpowiednio do swej płomiennej przemowy, lecz zbiegowie go nie słuchali. Całą ich uwagę skupiało dwaście małych piekących się powoli na skraju polany.

Dentysta i stary długo rozmawiali o możliwości powrotu do El Idilio. Stary wiedział, że pora deszczowa depta im po piętach i że konflikt miał wpływ na zachowanie zwierząt. Drapieżniki z rodziny kotów i wielkie gady nasyciły się ludzkim mięsem, gdyż ranni żołnierze, porzuceni na pastwę losu, okazali się najłatwiejszą ze zdobyczy. Kiedy więc po długich deszczach zwierzęta poczują, że kiszki zaczynają przyrastać im do grzbietu, rzucą się na to, co będzie najbliżej, czyli na nich.

„Z całym szacunkiem, ekscelencjo, na marginesie pańskich dętych mów o ojczyźnie, ja także uważam, że powinniśmy zawrócić" - rzekł stary.

„Patrzcie państwo! Przynajmniej ktoś chce wrócić do domu. Można się było tego po tobie spodziewać, stary" - pokłonił się grubas.

„Myli się pan. Chodzi o to, by znaleźć bezpieczne miejsce - sprecyzował dentysta. - Stary wie, że pora deszczowa jest tuż-tuż i że Shuarowie odejda, zanim spadną pierwsze krople. Chronili nas i żywili przez te wszystkie przeklęte tygodnie, ale teraz sobie pójda".

Grubas, przyklejony do rączki swego parasola, rozpoczął nerwowy spacer. Wiedział, że zbiegowie od początku go nienawidzili i że uraza rosła, podlana rosołem pogardy, który zaczął się warzyć owego złowieszczonego ranka, gdy pierwsze pociski z moździerzy spadły na El Idilio, rozrywając fryzjerski fotel dentysty i chatkę służącą za siedzibę urzędu gminy.

„Flagi! Trzeba uszyć flagi!" - zawołał wówczas alkad pośród krzyków ludzi, którzy nie wiedzieli, dokąd uciekać.

„O jakich pieprzonych flagach pan mówi?!" - spytał doktor

Loachamin, zbierając leżące na pomoście protezy.

„Trzeba uszyć jedną peruwiańską i jedną ekwadorską. Nie wiemy, która armia pojawi się tu pierwsza” - odpowiedział alkad.

„Nie bądź pan idiotą. Jedyne flagi Texaco i Shella cokolwiek znaczą. To oni stoją za tą świńską wojną” - wypalił dentysta, zanim poszedł w ślady starego, który już zaczął kominować odwrotem mieszkańców osady do dżungli.

Prawie pół roku minęło od tego dnia i oto tam byli, na leśnej polanie, oczekując, aż upolowane przez Shuarów małpy dopieją się w żarze.

- Ja pójdę pierwszy - oznajmił stary. - Jeśli nie wrócę po dwóch tygodniach, idźcie za Shuarami i zróbcie dokładnie to, co oni wam każą. Terytorium Brazylii jest o jakieś dwadzieścia dni marszu stąd. Może im się uda doprowadzić was w bezpieczne miejsce. - Powiedziawszy to, oddalił się od grupy.

Shuarowie pomagali zbiegom tylko dlatego, że był z nimi stary. Nie rozumieli tych mężczyzn ani nielicznych kobiet, przybyłych do Amazonii z pragnieniem ucieczki przed koszmarem strachu i nędzy. Z trudem udawało się im złowić zbrójnika, najpowolniejszą i najbardziej ospałą z ryb; nie potrafili odróżnić słodkich owoców flaszowca od zdradliwego mięszu tabernamontany, który pachniał tak samo, miał identyczny smak, lecz zamiast stać się rozkoszą podniebienia, wypuszczał z ciała wstydlivy strumień biegunki; nie mieli pojęcia, że mięso wyjca jest delikatne i ma słodkawy smak, wybierali za to leniwe kapucynki, które łatwo było zrzucić z drzewa, mięso jednak miały tak włókniste, że dosłownie zębów wbić się nie dało. Dziwni ludzie ci biali... Starego Shuarowie darzyli jednak szacunkiem, był bowiem inny.

Był taki jak oni, lecz nie był jednym z nich. Wiele lat temu popełnił błąd i musiał opuścić ziemię Shuarów, a mieszkańcy Amazonii poszli za nim, by uczynić jego wygnanie choć odrobinę lżejszym. Ponadto cenili go ze względu na pewien interesujący zwyczaj: otóż czytywał on romanse, a następnie - w długie wieczory suchej pory roku - opowiadał je, na nowo przeżywając ich treść.

Stary podszedł do Shuarów, splunął uroczyście trzy razy, jak czyni ten, kto zamierza powiedzieć prawdę, kucnął przy nich i posługując się rękoma, oczyma i ustami, przemówił jednym z dziewięćdziesięciu języków Amazonii.

Kiedy wrócił na polanę, uciekinierzy obgryzali przypalone małpie kostki. Opowiedział pokrótce, że Shuarowie zgodnie uważają, iż muszą odczekać jakieś dwa tygodnie, zanim ich

zaprowadzą w głąb dżungli, na terytoria plemion Ashuar, Aguaruna, Machiguenga i Kogapakori. Jeżeli on nie wróci w umówionym czasie, wtedy poprowadzą ich w rejon wielkich lagun, tam gdzie mają gniazda bociany jabiru.

- Idę z tobą, stary. Wiem coś niecoś o tych wszystkich kłopotach - rzekł dentysta, zarzucając na grzbiet plecak, w którym mieścił się cały jego majątek: zestaw kleszczy do wrywania zębów, szesnaście uratowanych z bombardowania protez i paczuszka cygar z twardych liści tytoniu. Stary zaś zawiesił na ramieniu ofiarowaną mu przez Shuarów dmuchawkę, a w swoim plecaku ułożył wiązkę strzał cieniutkich niczym wykałaczki, obrośniętą pajęczyną tykwę i woreczek ze skóry węża boa z kilkoma gramami złowieszczej kurary.

Wędrowali pięć dni przez dżunglę, w której nie zachował się żaden ślad niedawnego konfliktu. Ptaki milkły na ich widok, małpy obserwowały z nieśmiałą ciekawością, gady omijały, sycząc dyskretnie, a owady zapowiadały ich przejście monotonnym telegrafem łapek i membran. Dopiero szóstego dnia dżungla zmieniła wygląd: nie było w niej żadnych oznak życia, z wyjątkiem roślin, i to obudziło czujność towarzyszy wędrowni.

Tego samego dnia, na plaży w zakolu rzeki, dentysta ruchem ramienia zatrzymał starego. Wyciągnął drugą rękę i wskazał dziwny metalowy pazur wystający spod nazbyt gładkiego piasku.

Cofnęli się o jakieś dwanaście kroków i stary, wprowadzwszy strzałę do dmuchawki, wycelował i dmuchnął energicznie. Zaledwie strzała dotknęła metalowego szpona, dżunglą wstrząsnął wybuch.

- Rośliny śmierci - szepnął stary.
- Miny przeciwpiechotne. Cywilizacja - sprecyzował dentysta.

Zdetonowali wiele śmiertelnych pułapek, zanim wreszcie udało im się dotrzeć do tego, co pozostało z El Idilio - gruzów piętrzących się przy Katedrze.

- Co się mogło stać z Galanem? - zapytał dentysta.

Tak, co też los mógł zgotować temu Kolumbijczykowi o przepelnionym optymizmem, choć pompatycznym sposobie mówienia? Przemierzając ruiny osady, natknęli się na rozplątany akordeon. Dentysta wziął to, co z niego pozostało, i oto z miecha wydostało się ostatnie tchnienie, które przypominało im raz jeszcze o nieobecności muzyka.

„A skąd pan idzie, ziomku?” - zapytali go wówczas, gdy tylko postawił stopę na pomoście.

Zamiast odpowiedzieć, jak wszyscy, ułożonymi porządnie

słowami, usiadł na jednym z pniaków służących do cumowania łodzi, napełnił akordeon gęstym powietrzem południowej pory i wysnuł zaskakującą melodię, radującą serce i smutną zarazem.

„Panowie - zadeklamował, podążając za rytmem dźwięków-przychodzę z Cesar i Magdaleny albo, jeśli wolicie, z samego serca Guajiry”.

W owym czasie, tak krótkim jak szczęście, mieszkańcy osady tłoczyli się wokół Galana i jego akordeonu, by słuchać owych vallenatos, opowiadających historie największych macho, największych fajtlap, wreszcie największych kobiet, a wszystko to wersami, od których drżało serce, a stopy szalały.

„Panowie - rzekł drugiego lub trzeciego dnia po przybyciu - muzyk i muzyka potrzebują dachu odgradzającego ich od gwiazd oraz karafki rumu na stole okrytym obrusem przyjaźni”.

Zaproponowali mu, by zamieszkał w którejś z chat, mało tego, spierali się zawzięcie o przywilej goszczenia go, jednak Galan przybył naznaczony niezatartym piętnem wszystkich budowniczych.

„Panowie, z całym szacunkiem dla wszystkich, chciałbym się dowiedzieć, czego brakuje w tej osadzie” - zapytał między dwoma dźwiękami.

„Wszystkiego. Brakuje wszystkiego i paru rzeczy dodatkowo” - wypalił jeden z mieszkańców osady.

„Biorąc pod uwagę moralność, nieźle byłoby mieć kościół” - rzekł alkad, przekonany, że za akordeonem kryje się mecenas lub garimpeiro, poszukiwacz złota i drogich kamieni, któremu się poszczęściło i który przeżył spotkania z pułapkami dżungli i treflowego króla.

„To mi się podoba! Panowie, skoro brak tu kościoła, zbudujemy katedrę!”

Tak oto powstała Katedra. Nigdy wcześniej El Idilio nie było świadkiem takiego zapału mieszkańców, którzy dobrowolnie, w ciągu kilku godzin, wzniesli ściany z trzciny i liści palmowych i rozebrali galmanowy dach zrujnowanego „składu materiałów budowlanych” - obecnie cmentarza szczurów, a zarazem ostatniego śladu, jaki pozostał po wielkim projekcie kolonizacji Amazonii.

Dentysta podał staremu cygaro i zapalili, usiadłszy na resztkach pomostu.

- Czy Kolumbijczyk zdołał się uratować? - zastanawiał się stary.

- Mam nadzieję, że tak. Lubilem go, choć nie napełnił Ka-

tedry aniołami - odrzekł dentysta.

Nie. Nie napełnił jej aniołami. W pamięci Antonia Jose Bolívara Proaño zabrzmiał piskliwy głos Bruna Baroniego, cyrkowca, który naprawdę nazywał się Leocadio Urzua i dlatego właśnie nie wzbudzał jego sympatii. Stary nie rozumiał, dlaczego tamten wypiera się swego nazwiska. Nie rozumiał, pomimo że słyszał o wielu radiowych piosenkarzach, którzy występowali pod pretensjonalnymi pseudonimami, i mimo że przeczytał wiele historii, gdzie bohaterowie na czas jakiś zmieniali nazwisko, zawsze jednak powodowani motywami, które przydawały im czci. Na przykład w Mięsie więziennym, powieści Eduarda Zamacoisa, bohater, Olegario Batista, wielokrotnie zmieniał nazwisko, by dzieci go nie rozpoznały i mogły przyjąć jego pomoc bez ujmy na honorze. Dopiero w chwili śmierci zgromadził wokół siebie spadkobierców, żeby im wyjawic swoją prawdziwą tożsamość. Było to zrozumiałe; czynił tak z miłości, a to uczucie wszystko usprawiedliwi. Leocadio Urzua kazał się nazywać Brunem Baronim, gdyż, jak się wydaje, owo nazwisko podkreślało ważność jego osoby jako dyrektora cyrku zaproszonego do Katedry i upoważniało go do wplatania w swe wystąpienia dziwacznych wyrazów.

„Signoras i signores, godni najwyższego szacunku pionierzy postępu w Amazonii. Cyrk Baroni, U piu grosso circo del mondo, ma zaszczyt zaprezentować państwu w questa bella cattedrale w El Idilio spettacolo niezwykle i nigdy dotąd niepokazywane publiczności. Signoña Alma Lamur, światowej sławy artystka specjalizująca się w fonomimii, przynosi nam niezapomniane piosenki sióstr Navarro, Sarity Montiel, Imperii Argentyny i wielu innych gwiazd siódmej muzy. Signore Billy Rogers, człowiek ptak, rzuca wyzwanie śmierci swymi podniebnymi akrobacjami. Prawdziwa gwiazda naszej ekipy, signora Kasandra, chiromantka sławy mondiale. Nieustraszony capitano Carlo Agosti, pogromca dzikich zwierząt w U suo spettacolo z niedźwiedziami z Alaski, i fratelli Chispita i Chispón, gonfalonieris dobrego humoru, królowie śmiechu. To wszystko i jeszcze więcej będą państwo mogli obejrzeć w katedrze w El Idilio pod patronatem jego ekscelencji signore alkada. Wstęp pięćdziesiąt sures, bambinos gratis, pod warunkiem że wchodzą z prawowitymi rodzicami”.

Stary i dentysta z wolna zaciągali się cygarami. Nigdy nie potrzebowali zbyt wielu słów, by się porozumieć, a tam, przy ruinach Katedry, wiedzieli, że myślą o tym samym, na przykład o signorze Kasandrze, chiromantce, która nigdy nie posunęła się w swych przepowiedniach dalej, niż wieszcząc chorobę prostaty lub zwycięską miłość za górami, lecz zarazem

emanowała żalobą swego wdowieństwa i studziła rozpalone namiętności.

- Martwiłem się o Almę Lamur - wyznał stary.

Alma Lamur, z makijażem przywołującym na myśl bladość zmarłego w górach dziecka, poruszała się, użyczając swych ust i całego ciała głosem nazbyt oddalonym i brutalnie postarzanym przez rysy na płytach. Naprawdę nazywała się Leontina Diaz i również była wdową. Jej wytarta, mocno wydekoltowana suknia naszyta zielonymi cekinami przywoływała jednak wspomnienie surowego żalobnego stroju, jaki przywdziała, gdy została sama na świecie.

Jej mężczyzna, Elpidio da Silva, był garimpeiro, który na własne nieszczęście znalazł bryłę złota. Rozpętała się wówczas burza zawiści, która rozprzestrzeniła się poza granice trzech krajów. Jeśli zaś bogactwo przyniosło mu jakieś korzyści, należały do nich bez wątpienia małżeńska przychylność Leontiny Diaz oraz proteza zawierająca trzydzieści dwa zęby, które odbijały blask pożądlivosti każdego, kogo napotkał na swej drodze, aż ciosy maczety zmasały mu wreszcie uśmiech z twarzy. Owdowiała Leontina obawiała się, że składający kondolencje nie uszanują jej czci jako świeżo upieczonej wdowy, nie chciała zatem narazić na uszczerbek pamięci małżonka, toteż spakowała swoje rzeczy i przyłączywszy się do trupy cyrkowców, dotarła do Katedry, by użyczyć swych zwiędłych ust głosem, które dawniej, gdy była kobietą godną zazdrości, wyrywały z jej piersi westchnienie.

- Billy'emu Rogersowi wypełniłem usta zębami z porcelany i nigdy mi za to nie zapłacił - podsumował rozbawiony dentysta.

Billy Rogers był Mulacikiem z Esmeraldas, który błagował, zapewniając, że pochodzi z Nowego Orleanu. Cała jego sztuka polegała na kilku próbach akrobacji na linie, które nie zawsze mu wychodziły, oraz zonglerce półtuzinem zielonych papai i taką samą liczbą butelek po fronterze. Naprawdę nazywał się Teofilo Zamudio, a akrobację opanował, kiedy zatrudniony przez Texaco bujał się na sznurach ponad rzekami pełnymi piranii, instalując kolejki krzeselkowe, którymi następnie mieli się przeprawiać na drugi brzeg inżynierowie od paliw, huśtając się i srając po nogach ze strachu.

- Poprawiłeś też uśmiech pogromcy. Poczciwiec z ciebie, co nie, doktorze? - rzekł stary.

Capitano Carlo Agosti nosił w duszy dwie prawdy całkowite i jedną połowiczną. Nazywał się tak naprawdę i był jedynym cudzoziemcem w obsadzie cyrku, a określenie capitano wydawało się sympatyczne i pasowało doskonale do szpako-

watego sześćdziesięciolatka.

Do dżungli przybył przekonany, że niestworzone historie przekazywane z ust do ust od czasów konkwisty mają w sobie coś z prawdy. Miał nadzieję, że napotka owoce ze szmaragdami zamiast pestek i ryby ze złotymi guzami między skrzelałami. Kiedy po piętnastu latach tułaczki po wilgotnych i gorących terenach poślóknął niczym Chińczyk z bajek dla dzieci, dziąsła przeżarte miał skorbutem, a kości rozchwierutane po licznych atakach malarii, porzucił łopaty i sita poszukiwacza fortuny i zajął się tresurą psa, którego nauczył rozmaitych sztuczek. W ten sposób zarabiał na życie w nadbrzeżnych osadach, tak też dotarł do Katedry.

Połowiczna prawda była taka, że nie miał niedźwiedzi z Alaski, tylko jednego zwierzaka, starego i nękanego artretyzmem. Nabył go na licytacji zbankrutowanego cyrku w Iquitos. Podczas każdego przedstawienia niedźwiedź z nieobecny wyrazem pyska wspinał się na przyrządy i fikał kozły, być może rozmyślając o swej dalekiej ojczyźnie, w której królowało zimno. Tylko tam mógłby zapomnieć o osaczającej go gorącej i mdlącej śmierci i o klapsach odbierających godność jego coraz bardziej wyliniałej brunatnej sierści.

Cienie popołudnia zawładnęły ruinami El Idilio. Stary oddalił się w kierunku dżungli i po niedługim czasie wrócił z dwoma skalikurkami; skubał je z piór, podczas gdy dentysta rozpalał ogień. Jedli, patrząc na nieustający bieg rzeki, na jezory zielonej wody wyrrywające deski ze zniszczonego pomostu i ciągnące za sobą ciszę, rozmytą podobnie jak otaczająca ich panorama spustoszenia.

Gdy skończyli jeść, dentysta włożył rękę do kieszeni spodni i wyjął piersiówkę ze szkła i brązu. Potrząsnął nią i westchnął, niepocieszony.

- Ot i kłopot. Zostały może ze dwa łyki wódki - rzekł, podając staremu butelkę.

- Twoje zdrowie, doktorze! - Antonio Jose Bolivar Proaño wznosił toast.

- Stary, wiesz, co bym chciał zobaczyć w tym momencie?

- Jasne. Chciałbyś zobaczyć płynący rzeką statek Sucre i żeby cała osada, zaalarmowana biciem jego dzwonu, pobiegła na nabrzeże. Widzisz, doktorze, jak ja cię znam?

- A ja poleciałbym od razu po nowy fotel, by poprawiać uśmiechy. Ciekawe, czy to bomba peruwiańska, czy ekwadorska spieprzyła mi cały interes?

- A ja - westchnął stary - chciałbym zobaczyć, jak cyrkowcy wyjeżdżają z El Idilio, kiedy już wypiją wszystko, co pozostało w Katedrze. Poczuć smutek pożegnania i radość na myśl

o ponownym spotkaniu.

Antoniowi Jose Bolivarowi Proaño wydało się, że widzi dwa czółna wiozące cyrkowców, odbijające wolno od pomostu.

W pierwszym najwyraźniej rysowała się sylwetka Leocadia Urzui, siedzącego na kufrze i tulącego do piersi mosiężny gramofon. Za nim zajmowali miejsca pozostali artyści oparci o swe walizki. W drugim czólnie cyrkowcy przewozili przyrządy, liny i leżącego na rufie niedźwiedzia.

Szczupła przestrzeń czółna nie pozwalała transportować zwierzaka w klatce; żeby więc uchronić łódź przed wywróceniem, nie odbili od brzegu, dopóki nie napoili tego niezgrabny mlekiem mulicy zmieszonym z miodem i wódką Frontera - „wypij to, kochanie, nie wiesz, co cię czeka”.

Niedźwiedź dostał litrową butelkę wyposażoną w smoczek niespotykanych rozmiarów i wypił duszkiem ów koktajl znany w wielu amazońskich osadach jako „misiowy poncz”. Po kilku minutach spał snem kamiennym, z brzuchem do góry, obojętny na wszystko, co się wydarzy podczas rejsu, z wyrazem absolutnego kretynizmu na pysku.

Antonio Jose Bolivar sam nie wiedział, czy zasnął, czy też może odpłynął niesiony wspomnieniami. Świtało, kiedy dentysta potrząsnął go za ramię. Zalegająca nisko mgła okrywała korony drzew. Z pobliskiej gęstwiny dotarł do nich całkiem wyraźny trzask łamanej gałęzi.

- Słyszałeś? - szepnął dentysta.
- Tak. W dodatku to ktoś w butach. Bosa stopa przygina gałąź, ale jej nie łamie - sprecyzował stary.
- Żołnierze? Spróbujemy przepłynąć rzekę wplaw?
- Ty pierwszy, doktorze - odpowiedział stary, nasączając strzałę kurarą.
- Oszalałeś? Mają automaty.
- I cykora. Wystrzelę do tego z pagonami i pójdę za nim.
Stary podniósł dmuchawkę i wycelował w to miejsce w gąszczu, z którego dobiegł hałas. Wybuch śmiechu dentysty dosłownie go obezwładnił i stary wypuścił strzałę w nurt rzeki. Eladio Galan wychodził z dżungli, z rękami nad głową, powtarzając:

- Poddaję się, panowie! Na mocy konwencji genewskiej poddaję się!

Gdy ich rozpoznał, opuścił ręce i rzucił się ku nim pędem.

Był wychudzony jak pęd bambusa, a okrywające go łachmany nadawały mu wygląd rozbitka.

- O kurwa, Galan, ty żyjesz! - wykrzyknął dentysta.
- Za przeproszeniem, panowie, ale od pół roku jestem na diecie wegetariańskiej i mam jej po same jaja - odrzekł, rzu-

cając się na osmalone resztki skalikurków.

- Czemu nie uciekłeś razem z nami, jak się zaczął cały ten syf, i czemu wróciłeś? - zapytał dentysta.

- To długa historia, ale tu jest moje miejsce i tu zostanę - odparł Kolumbijczyk, obgryzając kości.

Doktor Rubicundo Loachamin spojrział na starego. Nie potrzebował słów, by powiedzieć, że Galan jest taki sam jak oni, że dżungla wdarła mu się do środka ze swymi niebezpieczeństwami i czarem, ze swą przemocą i brutalnym miłosierdziem, z miłością jak burza i pszczeli nektar, z nienawiścią grzechotnika i skorpiona. Nieważne, że dwa zasrane rządy zniszczyły El Idilio, zburzyły Katedrę, wygoniły donikąd tych, co nigdy nie byli skądś, skoro oni wrócili w imieniu wszystkich i dla wszystkich tu pozostaną.

- Jest dużo do zrobienia - odezwał się stary.

- Tak. Wszystko trzeba zrobić od nowa. To problem na miarę kontynentu - dodał dentysta.

Wtedy trzech mężczyźni spojrzeli na siebie, splunęli w dłonie, wybrali pierwsze deski, odszukali gwoździe, liny i wszystko, czemu trzeba było przywrócić godną pionową pozycję, i przystąpili do odbudowy Katedry.

(U a a KI

CC 03

•i—t *—<

Xi u

V O

o (U

cfl '5

O o

3 N CJ

J

O

N

Q

Na wyspie Lennox rośnie drzewo. Jedno. Niepodzielne, wyniosłe, uparte w swej straszliwej samotności niepotrzebnej nikomu zielonej latarni morskiej we mgle dwóch oceanów.

To prawie stuletni modrzew, jedyny zachowany z lasu powalonego przez wichry Dalekiego Południa, przez burze, w których obliczu chrześcijańska idea piekła zdaje się zabawnym wymysłem, wreszcie przez bezlitosną kosę lodu, tnącą południe naszej planety.

Jakim sposobem dotarł na to miejsce zarezerwowane jedy-

nie wiatrom?

Według mieszkańców wysp Nueva i Picton przybył w brzuchu jakiegoś dropia jako wędrowne kiełkujące nasionko. Tak przybył, przybyło ich więcej, otworzyły sobie drogę pomiędzy skalnymi szczelinami, zapuściły korzenie i poszły w górę, wyniosłe i buntownicze.

„Modrzewi było dwadzieścia albo i więcej” - mówią starzy wyspiarze, o ponad połowę młodszy od pozostałego przy życiu drzewa. Spędzili jedynie kilka lat w tym świecie, gdzie wicher i zimno podpowiadają: „Uciekaj stąd, ratuj się przed szaleństwem”.

Drzewa padały jedno po drugim zgodnie z logiką marynarskich przekleństw. Kiedy polarny wiatr przygiął pierwsze z nich i jego pień pękł ze strasznym hukiem, podobnym do tego, który - jak twierdzą Mapucze - da się słyszeć ponownie w dniu, gdy pęknie kręgosłup świata, wówczas również został wydany wyrok na ostatnie drzewo na wyspie. Jednak towarzyszy, który padł, miał w swych gałęziach moc wszystkich wicherów, jakim stawiał czoło, wszystkim lodów, jakie przetrzymał. Jego roślinna pamięć stała się podporą dla pozostałych. Tak oto rosły one w męstwo, podejmowały wyzwanie, pragnęły dotknąć konarami niskiego patagońskiego nieba; tak też padały, jedno po drugim, w ostatecznej klęsce. Owe drzewa nie chyliły się we wstydlivej agonii - od korzeni aż po koronę smagały skałę, a morderczym wichrom rzekły: „Padłem, to prawda, ale tak umierają olbrzymi”.

Jedno pozostało na wyspie. Drzewo. Modrzew, który z trudem można dostrzec, płynąc przez cieśninę. Otoczony zmarłymi towarzyszami, nasycony pamięcią, chwilowo bezpieczny, gdyż jego samotność nie obiecuje drwalom nagrody za przycumowanie statku i wspinaczkę po stromych skałach.

Rośnie. I czeka.

Na polarnym stepie inne wiatry ostrzą kosę lodu, która ma dotrzeć do wyspy i bez miłosierdzia wbić ostrze w pień, a kiedy ów dzień nadejdzie, wraz z drzewem ostatecznie skonają zmarli, którzy znaleźli schronienie w jego pamięci.

Jednak dopóki oczekuje nieuniknionego końca, dopóty wznosi się nadal na wyspie, wyniosłe, pełne dumy - ów sztandar godności Dalekiego Południa.

Lampa Aladyna

Dobrym ludziom z Algieru, Tipasy i Oranu

Aladyn Garib nie był całkiem pewien, czy się tak nazywa, ale jakoś, u diabła, musiał się nazywać ów Palestyńczyk,

który zszedł na ląd w Puerto Eden, przemierzywszy labirynt kanałów spływających do Cieśniny Magellana. Zaledwie postawił stopę na lądzie, rozwiązał tobolek z podszytymi flanelą kalesonkami, podkoszulkami odpornymi na lodowate wichry Dalekiego Południa, skarpetami udzierganymi z najbardziej dziewiczej z wełen Wielkiej Wyspy Chiloe, niemieckimi igłami, niemi z Tome i różnokolorowymi guzikami, które w oczach kobiet Kawesaar miały o wiele więcej powabu aniżeli błyskotki, jakie Chorwaci, Walijczycy, Chilijczycy i inni przybysze Bóg wie skąd ofiarowywali im w zamian za poprowadzenie do zatoczek, gdzie foki długowłose wydawały na świat swe potomstwo; albinoskie futra nowo narodzonych foczek były dla nich z kolei bardziej atrakcyjne aniżeli najlepsze owoce morza i inne skarby regionu subantarktycznych kanałów.

Jego hiszpańszczyzna, obciążona lewantyńskim rezonansem, sprawiła, że potencjalni kupcy niezwłocznie nazwali go „Turkiem”, ten zaś, przyzwyczajony do prostoty ludzi zagubionych w wicherach Dalekiego Południa, nawet nie próbował im wyjaśniać, że błąka się pośród wysp, sprzedając odzież, artykuły pasmanteryjne, noże i rondle, gdyż diaspora, którą zapoczątkował jego dziadek, nosi piętno ucieczek bez końca, jedyną zaś pociechą rodu było rzucanie przekleństw pod adresem Otomanów, przy czym absolutnie nie miało znaczenia, czy ktokolwiek pamięta powody owej nienawiści przekształconej w nieszkodliwy obyczaj; wiadomo, że nazbyt przedłużające się wygnania łagodzą balsamem zapomnienia wszelkie namiętności.

Tak oto „Turek” sprzedał część towaru, nie wyjawiając nikomu swego nazwiska. Wychwalał wielokrotnie zalety kalesonków, które nigdy się nie zbiegały, choćby były prane mnóstwo razy, nie dzieląc losu, jaki przypadał kurczącej się z wiekiem męskości - dodawał - i podkoszulków z mięciutkiej flaneli, których ciepło chroniące przed niemiłosiernym patagońskim zimnem czyniło serce delikatniejszym i skłaniało je bardziej ku miłości. Wymieniał cenę paczki igieł wyprodukowanych w odległych stalowniach Solingen lub tuzina guzików noszących w sobie powolność żółwia, z którego skorupy powstały, a mieszkańcy wyspy Wellington zastanawiali się w ciszy, medytowali bez słów, by ostatecznie sięgnąć do kieszeni, nie myśląc o ceremoniale handlowym, o koniecznym targowaniu się, które czyni sprzedawcę wirtuozem skłonny zrzec się zysku, a kupca przykładem przebiegłości w godzinie wyceny wszystkiego, czego własne ręce nie są w stanie wytworzyć.

Tobolek „Turka” zmalał wyraźnie w ciągu niespełna godzi-

ny; towary nabyło co najmniej dwudziestu mężczyzn, z którymi nie było kobiet. W poszukiwaniu bogactwa przybyli oni ze wszystkich krańców świata na tę wielokształtną wyspę, otoczoną wodami kanałów, zatoki Penas i Cieśniny Magellana, poprzecinaną fiordami, z resztkami lasów starych jak powietrze, pokrytą dywanem gęstego mchu, w którym według konkwistadora Sarmienta de Gamboa „może człowiek się zapaść po szyję, przez co mniej fatygujące zdaje się skakanie po drzewach, z jednej korony na drugą”.

Pierwsi Europejczycy i Kreole wybili niemal doszczętnie foki długowłose, lisy miały się na bacności, nieustępliwie broniąc swych kit, morskie skarby zaś, skryte w owych zimnych wodach, wymagały oddania, jakiego brakowało poszukiwaczom fortuny. Ludzie otaczający „Turka oczekiwali po prostu na zrzącenie Opatrzności, choć przestali już w nie wierzyć. Jednych ogarniała tęsknota za dalekimi ojczyznami, których obraz zatarty był przez patagońskie wichry, inni zaś pograżyli się z rezygnacją w szaleństwie rozbitków na owym krańcu świata.

Kiedy biali odeszli, Indianie Kawesąar poczęstowali wędrowca chlebem z algami. Wskazując na jego towary, wykrzykiwali ladks! tonem, w którym brzmiała troska. „Turek” był weteranem owych kanałów, handlował wcześniej z Alakalufami i Kawesąarami, znał kilka słów w ich języku pełnym skalistych rezonansów, zatem odpowiedział: „Nie ma ladks, nie ma koców”, lecz podobnie jak absurdem jest powiedzieć „woda”, stojąc u wodospadu, tak samo odmowa ciepła koców zagubiła się w mięsistych wargach i oczach barwy miodu uśmiechającej się do niego Indianki Kawesąar.

„Turek” wiedział, że wyspy są statkami z kamienia, że nie mają mieszkańców, tylko członków załogi, którzy przybywają, pozostają jakiś czas, a potem odchodzą. Wiedział również, że na patagońskich wyspach ludzie gubią swą przeszłość; zapewniali go o tym Baskowie z archipelagów Chiloe i Las Guaitecas, rozbitkowie ze statków wielorybnych, których armatorzy uważali, że lepiej się opłaca podpisać kontrakt z nowymi marynarzami niż wysłać kogoś na poszukiwanie starych. Tak więc przybyszy noszących nazwiska Etxeberria czy Olavarria zwano tu po prostu Barria, czy to z chęci poczynienia oszczędności w języku, czy to z zamierzonej głuchoty.

Ladks - powtórzyła Kawesąar i pokazała mu dwa warkocze wędzonych cholgas. „Turek” odmówił przyjęcia sznurów małży, wielkich niczym pięści, i powiedział kobiecie, że przykro mu, ale nie ma koców, po czym zachęcił ją gestem, by obejrzała towary, jakie pozostały jeszcze na usianej muszlami plaży.

W sklepie zajął jedyny stolik i przyglądał się, jak Kawesąar sprawdzają, czy rondle są mocne, a noże dobrze naostrzone. Ktoś podał mu czajniczek z gorącą wodą i pakiecik yerba mate, lecz „Turek” zapytał, czy mogliby zagotować dla niego wodę, i kiedy z powrotem dostał czajniczek, wyrzucający dziobkiem strumień pary, wsypał do dzbanka garść aromatycznych ziół, sporo cukru i wypił zawartość ze smakiem, ukontentowany, w towarzystwie miejscowych, którzy podchodzili, żeby dowiedzieć się, skąd przybywa, co ciekawego widział podczas swych podróży, wreszcie czy jakiś parowiec pod brytyjską banderą pojawił się w cieśninie lub czy skończyła się wreszcie wojna w Europie.

„Turek” odpowiadał, zadowolając upodobania wszystkich, wiedział bowiem, że nie ma większej prawdy niż ta, którą pragniemy usłyszeć. Walijszczyk oskarżył go o lekkomyślność, skoro pozostawił swój towar w zasięgu Kawesąarów, Galisyjszczyk szedł o zakład, że Indianie niejedno mu skradną, a Chorwat upierał się, że Indianki kradną więcej niż ich mężczyźni.

„Turek” wyjadł łyżeczką resztki cukru, zapalił fajkę i zapytał, czy może opowiedzieć pewną historię.

„Śmiało” - rzekł Walijszczyk, „zamieniamy się w słuch” - dodał Polak, „ale dajcie mu mówić” - wtrącił Galisyjszczyk.

- W pewnym miejscu, ani bardzo blisko, ani zbyt daleko od ziemi moich przodków - zaczął mówić „Turek” - jest góra zwana Chenoua, wznosząca się niczym wieża nad Morzem Śródziemnym. Jeżeli spojrzysz na lewo, zobaczysz blask kopułu Oranu, a jeśli popatrzysz na prawo, ujrzysz algierski minaret nieledwie przebijający niebo. W czasach starożytnych, zanim jeszcze wymyślono podłóść, feniccy kupcy cumowali u stóp wzgórza, schodzili na ląd, rozścielali koce i dywany, na nich układali dobra, które uzasadniały ich kupieckie powołanie, i zaraz powracali na swoje statki. Z pokładu, delikatnie kołysani falami przyjaznego morza, widzieli, jak ludzie z góry Chenoua zbliżają się, oglądają towary, wybierają, odkładają na bok to, co im się podoba, i przy wybranych przedmiotach kładą inne, które chcieliby dać w zamian, a następnie wspinają się z powrotem na szczyt. Wówczas Fenicjanie schodzili ponownie na ląd i podejmowali decyzje: czy ta amfora miodu będzie właściwą ceną za pęk haczyków, czy te motki świeżo gręplowanej wełny równoważą wartość dzbanka oliwy lub aromatyzowanego wina. Jeżeli zapłata była właściwa, zabierali, co im oferowano, jeśli nie, ujmowali część towaru, jeśli zaś była zbyt wysoka, dorzucali coś jeszcze. Zakończywszy operację handlową, powracali na statki, stawiali żagle i odpływali hen za horyzont. Tak wyglądał handel pomiędzy

Fenicjanami i mieszkańcami góry Chenoua przez całe wieki, ani, jak wspomniałem, bardzo blisko, ani zbyt daleko od ziemi moich przodków.

- Ale się skończył - rzekł Galisyjczyk, a Walińczyk zapragnął dowiedzieć się dlaczego.

- Skończył się, kiedy ktoś podszeptał Fenicjanom, że ludzie z góry Chenoua kradną - powiedział „Turek”.

Zostawił na stole parę monet za wrzątek i cukier i wrócił na usianą muszelkami plażę, by dopełnić transakcji z Kawesąarami.

Tego wieczoru „Turek” rozbił swój namiot na skraju lasu coigues i araukarii. Powietrze miało zapach drzew i morza. Pałac fajkę, zrobił rozliczenie towaru, powiedział sobie, że to był całkiem niezły dzień, i wszedł pod gruby kastylijski koc, gotując się do spokojnego snu.

Zamierzał właśnie zdmuchnąć mosiężną lampę, kiedy do namiotu wdarła się kobieta Kawesąar.

- Ladks! - odezwała się tytułem powitania, wskazując okrywający go gruby ciemny koc manta.

- Nie, nie ma ladks, ten nie jest na sprzedaż - odpowiedział „Turek”.

Kawesąar popatrzyła mu w oczy, uśmiechnęła się, ujrzawszy w nich podwójne odbicie płomyka lampy, i energicznym ruchem ściągnęła skórzaną tunikę, okrywającą jej smukłe ciało żeglarki i łowczyni. Wszak była to kobieta Kawesąar, przyczyna trawiącego mężczyzn ognia.

„Turek” patrzył z podziwem na jej smukłe ciało, mocne uda, biodra podtrzymywane przez proste maszty nóg, płaski brzuch i piersi przeznaczone do tego, by wykarmić najlepszych synów morza.

Długie godziny kochał ją pośród westchnień, gwałtownych ataków i klęsk. Leżąc na niej, czuł się niczym na pokładzie najbezpieczniejszego ze statków, ona zaś, wspiawszy się na jego brzuch, była najwdzięczniejszą z amazonek.

O świcie „Turek” uniósł dłoń ku piersi i powiedział, że ma na imię Aladyn.

- Powiedz moje imię... Aladyn - poprosił ją, lecz Kawesąar odpowiedziała nieznanymi słowami, dźwiękami ostrymi niczym podwodne skały wyspy Wellington.

- Ladks? - spytała kobieta, tuląc się do kastylijskiego koca.

- Tak, ladks, jest twój - odpowiedział Aladyn, gładząc czarne włosy kobiety, opadające ku jej pośladkom i zlewające się z ciemną barwą koca.

Kobieta wskazała na siebie, celując palcem w pierś.

- Tak, ladks Aladyna teraz jest twój, jakkolwiek się nazy-

wasz.

Kawesąar na klęczkach gładziła koc, podnosiła go ku policzkom i uśmiechała się zadowolona. Wąty płomyczek lampy oblewał miodem jej ciało. „Turek” patrzył, jak kobieta wstaje, wkłada tunikę ze skór guanaka i zwija kastylijski koc. W końcu wzrok jej spoczął na lampie.

- Też jest twoja, tak będzie sprawiedliwie. To się nazywa lampa i działa tak... popatrz, pokażę ci, tu nalewasz tłuszcz albo oliwę, czekasz, aż knot wyjdzie przez dzióbek, i wtedy ją zapalasz. Weź, jest twoja.

- Lampa Aladyna - szepnęła kobieta Kawesąar, biorąc przedmiot w ręce z największą delikatnością.

- Tak, to lampa Aladyna - potwierdził „Turek” i wyszedł z namiotu, by napełnić płuca wonnym powietrzem lasów i mórz Dalekiego Południa.

Spis treści

Uparty płomyk szczęścia

(La porfiada llamita de la suerte).....	7
Kawiarnia Miramar (Cafe Miramar).....	21
Hotel Z (Hotel Z).....	27
Biesiada z umarłymi poetami	
(Cena eon poetas muertos)	43
Mała historia (Historia minima).....	53
Złote serce Marii (Corazón de Maria).....	57
Ding-dong, ding-dong, taki jest miłości los (iDing-dong, ding-dong!, son las cosas del amor) ...	63
Wyspa (La isla)	77
Anioł zemsty (El dngel vengador)	95
Odbudowa Katedry	
(La reconstruccion de La Catedral).....	121
Drzewo (El drbol).....	137
Lampa Aladyna (La Idmpara de Aladino)	141

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące książki Luisa Sepulvedy:

HISTORIA O MEWIE I KOCIE,

KTÓRY UCZYŁ JĄ LATAĆ

2002

DZIENNIK SENTYMENTALNEGO KILLERA

KAJMAN

2002

PODRÓŻ DO ŚWIATA NA KOŃCU ŚWIATA

2003

EXPRESS PATAGONIA.

ZAPISKI Z PODRÓŻY

2003

PRZEGAPIENIA

2005

O STARYM CZŁOWIEKU,

CO CZYTAŁ ROMANSE

2006

NAJGORSZE BAŚNIE BRACI GRIM

2008

Opracowanie redakcyjne

Mirosław Grabowski

Korekta

Beata Wyrzykowska

Janina Zgrzemska

Projekt okładki

Tomasz Lec

Fotografia na okładce

Alamy/B&W

Zamówienia prosimy kierować:

- telefonicznie: 800 42 10 40 (linia bezpłatna)

- faksem: 12 430 00 96 (czynnym całą dobę)

- e-mailem: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Printed in Poland

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o., 2011

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

Skład i łamanie

PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Druk i oprawa

Drukarnia Wydawnictw Naukowych, Łódź